

Arkadij i Borys Strugacy

**Próba
ucieczki**

Rozdział I

- Piękny dziś będzie dzień! - wyraził na głos swą myśl Wadim.

Stał przed otwartą na oścież ścianą poklepując się po nagich ramionach i patrzył w sad. Nocą padał deszcz, trawa i krzaki były mokre, i dach sąsiedniego domku również był mokry. Niebo było szare, a na ścieżce lśniły kałuże. Wadim podciągnął spodni, zeskoczył w trawę i pobiegł ścieżką. Głęboko, hałaśliwie wdychając wilgotne poranne powietrze biegł obok zwilgotniałych leżaków, mokrych skrzyń i tobołów, minął ogródek sąsiada, gdzie wystawiając na pokaz swe wnętrze tkwił na wpół rozebrany koliber, biegł przez mokre, wspaniale rozrośnięte krzewy, między pniami mokrych sosen; nie zatrzymując się skoczył do jeziora, wydostał się na porośnięty turzycą przeciwległy brzeg, a stamtąd rozgrzany, nadzwyczaj zadowolony z siebie, ciągle zwiększając tempo pomknął z powrotem, pokonując wielkimi susami olbrzymie, gładkie kałuże i płosząc maleńkie szare żabki, prosto na łączkę przed domkiem, gdzie stał "Okręt".

"Okręt" był młodzieńcem, nie skończył nawet dwóch lat. Jego czarne, matowe, zupełnie suche boki ledwie dostrzegalnie pulsowały, a ostry wierzchołek był mocno pochylony i skierowany w ten punkt szarego nieba, gdzie za chmurami znajdowało się słońce: "Okręt" z przyzwyczajenia gromadził energię. Wysoką trawę wokół niego, obwisłą i pożółkłą, pokrywał szron. Był to zresztą zupełnie przyzwoity, nienarowisty gwiazdolat klasy turystycznej. Gwiazdolat rejsowy przez noc wymroziłby cały las w promieniu dziesięciu kilometrów.

Wadim ślizgając się na zakrętach okrążył "Okręt" i popędził do domu. Gdy pojękując z rozkoszy wycierał się do sucha włochatym ręcznikiem, z domku letniskowego naprzeciwko wyszedł sąsiad, wujek Sasza, ze skalpelem w ręku. Wadim pomachał mu ręcznikiem. Sąsiad miał już ze sto pięćdziesiąt lat i całymi dniami dłuwał w swoim śmigłowcu, bez skutku jednak - koliber Latał niechętnie. Sąsiad w zadumie spojrział na Wadima.

- Nie masz przypadkiem zapasowych bioelementów? - zapytał.

- A co - przepaliły się?

- Nie wiem. Mają nienormalną charakterystykę.

- Może połączyć się z Antonem, wujku Saszo - zaproponował Wadim. - Akurat jest w mieście.

Niech przywiezie ze dwie sztuki.

Sąsiad podszedł do helikoptera i stuknął go skalpelem po dziobie:

- Czemu, głuptasie, nie lataasz? - spytał z gniewem.

Wadim zajął się ubieraniem.

- Bioelementy... - gderał wujek Sasza zapuszczając skalpel we wnętrze kolibra. - Komu to potrzebne? Żywe mechanizmy... Półżywe mechanizmy... Prawie nieżywe mechanizmy... Ani montażu,, ani elektroniki... Same nerwy! Proszę wybaczyć, ale nie jestem chirurgiem. - Helikopter szarpnął się gwałtownie. - Spokój, ty zwierzaku! Stój grzecznie! - Wyciągnął skalpel i odwrócił się do Wadima. - Do licha! To niehumanitarne! - oświadczył. - Biedna zepsuta maszyna zamienia się w jeden wielki bolący ząb! Może ja jestem zbyt staromodny? Żal mi jej, rozumiesz?

- Mnie też - wymamrotał Wadim, wciągając koszulę.

- Co?

- Pytam, czy mógłbym pomóc.

Wujek Sasza przez jakiś czas przesuwiał wzrok z helikoptera na skalpel i z powrotem.

- Nie - powiedział zdecydowanie. - Nie mam ochoty naginać się do okoliczności. On będzie mi latał.

Wadim zasiadł do śniadania. Włączył stereowizor i rozłożył przed sobą *Najnowsze metody tropienia tachorgów*. Książka była starodawna, papierowa, przeczytana wielokrotnie od deski do deski jeszcze przez dziadka Wadima. Ilustracja na okładce przedstawiała pejzaż planety-rezerwatu Pandory z dwoma potworami na pierwszym planie.

Wadim jadł kartkując książkę i z przyjemnością zerkał na przystojną spikerkę, która właśnie coś opowiadała o zajadłych sporach dotyczących emocjolizmu. Spikerka była nowa i podobała się Wadimowi już cały tydzień.

- Emocjolizm! - westchnął Wadim i odgryzł kawałek kanapki z kozim serem. Miła dziewczyno, przecież to słowo jest (obrzydliwe nawet fonetycznie. Jedź lepiej z nami! A ono niech sobie zostanie na Ziemi. Założę się, że zdechnie do naszego powrotu - możesz być pewna.

- Emocjolizm jako kierunek jest wielce obiecujący - z niezmaconym spokojem kontynuowała spikerka. - Ponieważ dopiero on stwarza autentycznie głęboką perspektywę istotnego zmniejszenia entropii informacji emocjonalnej w sztuce. Jedyne on...

Wadim wstał i z kanapką w ręce podszedł do odsuniętej ściany.

- Wujku Saszo - zawołał. - Czy niczego pan nie słyszy w słowie "emocjolizm"?

Sąsiad z założonymi do tyłu rękami stał przed rozbebeszonym helikopterem. Koliber trząsał się jak osika na wietrze.

- Co mówisz? - spytał wujek Sasza nie odwracając się.

- Słowo "emocjolizm" - powtórzył Wadim. - Jestem pewien, że słyhać w nim dzwon pogrzebowy, widać przystrojony budynek krematorium i czuć zapach zwiędłych kwiatów.

- Zawsze byłeś taktownym chłopcem, Wadimie - powiedział starzec z westchnieniem. - A słowo jest rzeczywiście paskudne.

- Całkiem idiotyczne - potwierdził Wadim żując kanapkę. - Cieszę się, że i pan to czuje... Niech pan posłucha, a gdzie się podział pański skalpel?

- Upuściłem go niechcący do środka - przyznał się wujek Sasza.

Wadim popatrzył na dygoczący w mękach helikopter.

- Wie pan, co się stało, wujku Saszo? Zwarł pan skalpelem układ trawienny. Zaraz połączę się z Antonem, niech przywiezie drugi skalpel.

- A ten?

Wadim ze smutnym uśmiechem machnął tylko ręką.

- Proszę popatrzeć - powiedział wskazując na resztki kanapki. - Widzi pan? - Wsunął ostatni kawałek do ust, pogryzł i połknął.

- He? - spytał zaintrygowany wujek Sasza.

- Tak by można plastycznie przedstawić los pańskiego narzędzia.

Wujek Sasza popatrzył na helikopter. Maszyna już nie wibrowała.

- Koniec - ogłosił Wadim. - Nie ma już pańskiego skalpela. Za to koliber jest naładowany na jakieś trzydzieści godzin ciągłego lotu.

Sąsiad obszedł helikopter dookoła, bez sensu dotykając różnych części. Wadim roześmiał się i wrócił do stołu. Kończył akurat drugą kanapkę, popijając ją kolejną szklanką zsiadłego mleka, kiedy szczęknął informator i zabrzmiał cichy, spokojny głos:

- Wezwań i odwiedzin nie było. Anton wychodząc do miasta życzy miłego ranka i proponuje natychmiast po śniadaniu zacząć odzwyczajając się od wszystkiego co ziemskie. Do Instytutu wpłynęło dziewięć nowych zadań...

- Bez szczegółów - poprosił Wadim.

- ... Zadanie numer dziewiętnaście do tej pory nie zostało rozwiązane. Pearl Minchin udowodniła twierdzenie o istnieniu operacji wielomianowej nad Q-ciałem struktur Simoniana. Adres: Richmond, siedemnaście-siedemnaście-siedem. To wszystko.

Informator szczęknął znowu, pomilczał i dodał moralizatorsko:

- Zazdrościć nieładnie. Zazdrościć nieładnie.

- Ty bałwanie! - burknął Wadim. - Wcale nie zazdroszczę. Cieszę się! Zuch z ciebie, Pearl! - Zamyślił się patrząc w sad. - Nie - powiedział. - Teraz precz z tym wszystkim. Trzeba się wyrzec wszystkiego co ziemskie.

Cisnął brudne naczynia do zsypu i wydał bojowy okrzyk:

- Na tachorgi! Ozdobimy gabinet Pearl Minchin - Richmond, siedemnaście-siedemnaście-siedem - czaszką tachorga!

I zaśpiewał:

Niech tachorgów wyjdzie trzysta

Każdy w końcu musi lec,

Rusza na nich wszak lingwista

Najstrukturalnielszy spec.

- Teraz tak - myślał na głos Wadim. - Gdzie jest radiofon? - Nakręcił numer. - Anton? Co słyhać?

- Stoję w kolejce - odpowiedział Anton.

- Co mówisz? I wszyscy na Pandorę?

- Prawie. A ktoś rozpuszcza pogłoskę, że polowanie na tachorgi wkrótce zostanie zabronione.

- Ale my zdążymy?

Anton milczał przez chwilę.

- Zdążymy - odpowiedział.

- A są tam jakieś dziewczęta?

- A jakże inaczej?

- Zdążą przynajmniej?

- Zaraz zapytam... Mówią, że zdążą.

- Przekaż im gorące pozdrowienie od znajomego lingwisty strukturalnego, przystojnego, sześć stóp

wzrostu, o szlachetnej postawie... Słuchaj, Anton, co to ja takiego miałem ci powiedzieć! Aha! Przywieź z łaski swojej skalpel wujkowi Saszy. I ze dwie sztuki "BE-6". I przy okazji "BE-7".

- I przy okazji nowy śmigłowiec - powiedział Anton. - Cóż ten starzec uczynił ze swoim skalpelem?

- A jak myślisz, co można zrobić ze skalpelem?

- Nie mam zielonego pojęcia - poddał się Anton po chwili namysłu. - Skalpel to rzecz na całe stulecie. Jak terasy w Baalbek.

- Upuścił go niechcący do żołądka swego kolibra.

W radiofonie rozległy się śmiechy. Kolejka nieźle się bawiła.

- No dobrze - kończył Anton. - Czekaj, niedługo wracam. Bądź moim superkarge i zacznij załadunek.

Wadim wsunął radiofon do kieszeni i obliczył na oko drogę przez trzy pokoje do wyjścia.

- "Słaby jest duch mych nóg" - zacytował - "lecz za to rąk - potęga zła!"

Stanął na rękach i z wawo pobiegł do wyjścia. Na ganku wykonał salto i z okrzykiem "U-uch!" padł na czworaki w trawę przed gankiem. Podniósł się zaraz i otrzepawszy ręce, zadeklamował z uczuciem:

W pojedynku czy na wojnie,

Nikt nie zdoła przed nim zbiec,

Laury zbiera wciąż dostojnie

Najstrukturalniejszy spec.

Następnie bez pośpiechu wszedł w alejkę, przy której piętrzył się stos tobołów i skrzyń - dość duży ładunek. Trzeba było wieźć ze sobą broń, amunicję, zapas żywności, odzież - inną na polowanie, a inną - do słynnej kawiarni "Myśliwska" na płaskim szczycie Eweriny, gdzie między stolikami buszuje wiatr przepojony korzennymi zapachami, a pod urwiskiem, na samym dnie trzystumetrowej przepaści, kłębią się jak burzowe chmury nieprzebyte, czarne chaszcze; gdzie podrapani cierniami myśliwi ze śmiechem osuszają pękate flaszki "Krwi tachorga" i ryzykują zwichnięcie rąk w darennych próbach pokazania, jaką to czaszkę mogliby zdobyć, gdyby wiedzieli, z której strony karabin ma kolbę; gdzie w ciemnozielonym zmierzchu pary suną na strudzonych nogach w takt "Jasnego rytmu", a nad Granią Śmiałków wchodzą na bezgwiezdne niebo rozmyte, płaskie księżycy.

Wadim przykucnął przywierając plecami do najcięższej skrzyni, uchwycił wygodnie swój ciężar i jednym szarpnięciem zarzucił go na ramiona. W skrzyni była broń - trzy automatyczne karabiny z celownikami optycznymi do strzelania we mgle i sześć setek naboju w płaskich plastikowych magazynkach. Sprężystym krokiem Wadim poniósł skrzynkę przez sad do "Okreću". Zaszedł pojazd od strony urządzenia odbiorczego i kopnął w burtę. Błona osłaniająca owalny właz pękła i Wadim zrzucił skrzynię w zionącą chłodem ciemność.

Potem zawrócił, zrywając po drodze z krzaków olbrzymie jagody jakiejś hybrydy. I każdy krzew zrzucił na niego ładunek zimnych, ciężkich kropel deszczu.

Trzeba ustrzelić co najmniej pięć tachorgów, myślał. Jedna czaszka dla Pearl Minchin Richmondzkiej. Niech wie, że ze mnie fajny facet. Jedna czaszka dla mamy. Mama jej nie zechce, jest na to

zbyt poważnym człowiekiem, a wtedy podaruję tę czaszkę pierwszej dziewczynie, która przejdzie obok mnie na rogu Newskiego i Sadowej po dziesiątej rano. Trzecią czaszką rzucę w Samsona, aby poskromić jego sceptycyzm: dziwnie zachowywał się u Nelly, kiedy opowiadałem jej o swej ostatniej wyprawie na Pandorę. Czwartą czaszkę dam Nelly, żeby wierzyła mnie, a nie Samsonowi. A piątą powieszę nad stereowizorem. Z lubością wyobraził sobie, jak uroczo będzie wyglądała ładniutka spikerka pod szczerzącą zęby czaszką potwora.

Przeniósł na "Okręt" cztery wielkie skrzynie z surowym mięsem, osiem skrzyń z warzywami i owocami, dwa miękkie toboły z odzieżą i jeszcze jedną skrzynię z podarunkami dla mieszkańców, opatrzoną koślawym napisem: "Puszka dla Pandory".

Gdzieś za chmurami słońce podnosiło się coraz wyżej i wyżej; robiło się gorąco. Wszystko dokoła wysychało. Żaby pochowały się w trawie. W pustych domkach z szelestem rozsuwały się ściany. W pobliżu swego kolibra wujek Sasza zawiesił hamak i usadowił się w nim z gazetą w ręce. Wadim skończył prznosić ładunek i rozlokował się pod krzakiem agrestu.

- Tak więc odlatujecie - powiedział wujek Sasza.

- Uhm.

- Na Pandorę?

- Aha.

- A tutaj oto piszą, że zamierzają zaniknąć rezerwat. Na kilka lat.

- Nie szkodzi, wujku Saszo - powiedział Wadim. - Zdamy.

Wujek Sasza po chwili milczenia zauważył cicho:

- Samemu będzie mi tu bardzo smutno.

Wadim przestał żuć.

- Ale przecież my wrócimy, wujku Saszo! Za miesiąc.

- Wszystko jedno. Ja na ten miesiąc pojedę do miasta. Co tu będę robił sam na pięciu domkach? -

Popatrzył na helikopter. - Z tym głuptaskiem. Póżywym.

W górze rozległo się niegłośnie terkotanie.

- O, jeszcze jeden leci - zauważył wujek Sasza.

Wadim zadarł głowę. Niewysoko nad osiedlem wykreślał ósemkę jaskrawoczerwony ramforynch.

Na jego chudym brzuchu wyraźnie rysował się biały numer.

- Tak to i ja bym potrafił - puszył się wujek Sasza. - A spróbowałbyś, brachu, spikować śrubą, i to nie bokiem, i nie w staw, ale tu, blisko nas...

Ramforynch odleciał. Na betonowej dróżce za sadem rozległo się poświstywanie samochodu.

- W naszej osadzie robi się ludno - zauważył wujek Sasza. - Ruch jak na Newskim.

- To Anton! - Wadim zerwał się i pobiegł w stronę "Okrętu".

Anton wprowadził samochód do garażu. Po chwili informował z roztargnieniem:

- Wszystko w porządku, Dimka. Książeczkę nawigacyjną zarejestrowałem, uzyskałem zgodę na start...

- Ale? - spytał przenikliwy Wadim.

- Co - ale?

- Najwyraźniej słyszę w twoich słowach jakieś "ale".

Anton odparł niechętnie:

- Wpadłem na chwilę do Hali. Nie pojedzie.

- Czy to przeze mnie?

- Nie... - zawahał się. - Przeze mnie.

- No tak - oświadczył Wadim po namyśle.

Anton zapytał:

- A jak stoją sprawy z załadunkiem, superkargo?

- Wszystko w porządku, kapitanie. Można startować.

- A w domu? Posprzątane?

- W czyim domu?

- Na przykład w moim.

- Nie, kapitanie. Proszę o wybaczenie, kapitanie. Ale dopiero co skończyłem załadunek, kapitanie.

Nisko nad dachami znowu przeleciał czerwony ramforynch. Anton popatrzył w ślad za nim.

- A to ci historia! - krzyknął zdziwiony. - Znów CS-268. Chyba stałem się obiektem czyjejś bacznej uwagi. Ten czerwony ramforynch z numerem pokładowym CS-268 ugania się za mną od samego Placu Pałacowego.

- Czy nie jest w to zamieszana jakaś kobieta? - zapytał Wadim.

- Nie sądzę. Nigdy jeszcze kobiety za mną nie latały.

- Zawsze kiedyś... - zauważył Wadim - jest ten pierwszy raz. - I w tej chwili olśniła go nowa myśl. -

A może to jest członek tajnego towarzystwa obrońców tachorgów?

Ramforynch jeszcze raz przeleciał nad ich głowami i nagle ucichł.

- Ech, to do wujka Saszy - powiedział Wadim. - Pójdzie do rozbiórki, na zapasowe organy. Biedny ramforynch. A propos, przywiozłeś?

- Przywiozłem - odpowiedział Anton patrząc gdzieś w bok. - Nie, strukturalny superkargo. To nie do wujka Saszy...

Zza krzaków wyszedł wysoki kościsty mężczyzna w szerokiej białej bluzie i w białych spodniach. Miał bardzo smagłą, szczupłą twarz z krzaczastymi brwiami i wielkie brązowe uszy. W ręku trzymał ogromną teczkę.

- To on - powiedział Anton.

- Kto?

- Człowiek w bieli. Przez cały czas kręcił się w pobliżu kolejki. I patrzył wszystkim w oczy.

- Zaraz mu wyjaśnię, co to są tachorgi - rzekł Wadim - i on zrozumie.

Człowiek w bieli zbliżył się i starannie przyjrzał się obu myśliwym.

- Czy pan wie, że tachorgi napadają na ludzi i zdarza się, ranią ich poważnie? - spytał Wadim. - Powodują trwałe kalectwa.

- Ach tak? - zdziwił się człowiek w bieli. - Tachorgi? Pierwszy raz słyszę. Zresztą to nie moja specjalność. Przyszedłem do was z prośbą. Dzień dobry. - Dotknął dwoma palcami skroni.

- Dzień dobry - odpowiedział Anton. - Pan do mnie?

Nieznajomy rzucił teczkę pod nogi i wytarł pot z czoła. W teczce coś głucho zabrzęczało. Było to przeogromne, wypchane do granic możliwości teczysko, mocno sfatygowane, z olbrzymią ilością pasków i miedzianych sprzączek. Po japońsku teczka nazywa się kaban*[* dzik], pomyślał Wadim. Japończycy mają rację.

Nieznajomy powoli mówił dalej:

- Owszem. Do pana. - Zmrużył oczy i znowu mocno potarł dłonią twarz. - Tylko proszę mnie nie pytać, dlaczego akurat do pana. Zupełnie przypadkowo do pana... Mógłbym do kogokolwiek innego...

- Mieliliśmy niesłychane szczęście - wesoło wtrącił Wadim. - To wprost zdumiewające, że tak nam się dzisiaj wiedzie.

Nieznajomy popatrzył na niego bez uśmiechu.

- Pan jest kapitanem? - zapytał.

- Jestem nim potencjalnie - odpowiedział Wadim. - A praktycznie pełnię funkcję superkargo i starszego specjalisty od tachorgów. Za pańskim pozwoleniem - zwierzoznawca-amator...

Wadim wpadł w trans i nie mógł się już pohamować. Musiał za wszelką cenę wywołać na twarzy nieznajomego uśmiech, choćby tylko z grzeczności.

- Ponadto jestem drugim pilotem-amatorem - kontynuował. - A to w razie, gdyby kapitanowi przytrafiło się wodogłowie lub kolano pokojówki...

Nieznajomy słuchał w milczeniu. Anton powiedział z cicha:

- To bardzo śmieszne.

Zaległa cisza.

- O ile zrozumiałem, lecicie obaj na Pandorę - powiedział nieznajomy. Patrzył na Antona.

- Tak, udajemy się na Pandorę. - Anton spojrział z ukosa na tekę. - Czyżby pan chciał coś przesłać za naszym pośrednictwem?

- Nie - odpowiedział przybysz, - r - Nie mam nic do przesłania. Mam całkiem inną... Mam dla was propozycję. Przecież wy jedziecie dla rozrywki?

- Owszem - odpowiedział Anton.

- Jeśli niebezpieczne polowanie można uważać za rozrywkę - dodał znacząco Wadim.

- To wspaniały wypoczynek - tłumaczył Anton. - Przelot turystyczny i polowanie.

- Przelot turystyczny... - powoli, jakby z niedowierzaniem powtórzył nieznajomy. - Turyści...

Posłuchajcie mnie tylko, młodzi ludzie, nie wyglądacie na turystów. Jesteście młodymi, zdrowymi chłopakami - odkrywcami. Po cóż to wam - zagospodarowane planety, zelektryfikowane dżungle, automaty z wodą sodową na pustyniach? Zresztą, co tu gadać! Dlaczego nie mielibyście udać się na nieznaną planetę?

Chłopcy popatrzyli po sobie.

- To znaczy na jaką? - spytał Anton.

- Czyż to nie wszystko jedno? Jakąkolwiek. Taką, na której jeszcze nie stanęła ludzka stopa. -

Nieznajomy nagle szeroko otworzył oczy. - A może takich już w ogóle nie ma?

Wcale nie żartował. To było jasne i chłopcy znów popatrzyli po sobie.

- Nic podobnego - powiedział Anton. - Takich planet jest jeszcze ile dusza zapragnie. Ale my przez całą zimę szykowaliśmy się do polowania na Pandorze.

- Ja sam - wtrącił Wadim - już porozdawałem znajomym czaszki swoich nie upolowanych jeszcze tachorgów.

- A poza tym - co takiego moglibyśmy robić na nowej planecie? - łagodnie rzekł Anton. - Nie jesteśmy ekspedycją naukową, nie jesteśmy specjalistami. Wadim jest lingwistą, ja zaś - kosmonautą, nawigatorem... Nie zdołamy nawet sporządzić wstępnego opisu... A ma pan jakiś konkretny pomysł?

Nieznajomy zmarszczył krzaczaste brwi.

- Nie mam żadnych pomysłów - powiedział stanowczo. - Po prostu muszę się dostać na nieznaną planetę. I pytanie brzmi: możecie mi pomóc czy nie?

Wadim zaczął bawić się zamkiem błyskawicznym kurtki. Ton przybysza raził go: Wadim nie przywykł do takiego postępowania. Sytuacja stawała się trudna. Człowiekowi wyruszającemu w podróż dla rozrywki trudno się sprzeczać z człowiekiem, który musi jechać w ważnej sprawie. Wadim nie miał argumentów i dlatego już chciał przyczepić się do okropnych manier nieznajomego, gdy nagle zaszło coś dziwnego.

Za drzewami zaszczekał pies. Był to airedale terier wujka Saszy, Trofim - zgrzybiałe, głupie psisko z objawami arystokratycznego zwyrodnienia i niezwykle basowym głosem. Zaszczekał najprawdopodobniej dlatego, że siadła mu na nosie osa i nie wiedział, co z nią począć, ale twarz nieznajomego zmieniła się nagle nie do poznania. Skulił się cały i dał olbrzymiego susa w bok. Wadim nawet nie zrozumiał, co się stało. Skoczywszy, nieznajomy wyprostował się i demonstracyjnie wolnym krokiem wrócił na miejsce. Na czole błyszczał mu pot. Wadim spojrział na Antona. Twarz przyjaciela wyrażała spokojną zadumę.

- No cóż - powiedział z rozważą. - W drugiej strefie jest wiele żółtych karłów z przyzwoitymi planetami typu ziemskiego. Choćby EN 7031. Już się ktoś tam wybierał, lecz wyprawę odłożono. Zapowiadała się nieciekawie. Ochotnicy nie lubią żółtych karłów - chcieliby od razu giganta, najlepiej - wielokrotnego... Dogadza panu EN 7031?

- Tak, w zupełności - odpowiedział nieznajomy. Już przyszedł do siebie. - Jeśli to rzeczywiście bezludna planeta.

- To nie jest planeta - grzecznie poprawił Amon. - To gwiazda. Słońce. Ale są tam również planety. Wszystko wskazuje na to, że nie zamieszkane. Jak panu na imię?

- Saul - odpowiedział przybysz i po raz pierwszy uśmiechnął się. - Saul Reppin. Jestem historykiem. Dwudziesty wiek. Postaram się jednak być użyteczny. Umiem gotować, prowadzić naziemne pojazdy, potrafię szyć, naprawiać obuwie, strzelać - zamilkł nagle. - A oprócz tego - dodał po chwili - wiem, jak to wszystko robiono dawniej. Ponadto znam jeszcze kilka języków - polski, słowacki, niemiecki, trochę francuski i angielski...

- Szkoda, że nie umie pan prowadzić gwiazdolotu - westchnął Wadim.

- Tak, szkoda - odpowiedział Saul. - Ale to nic takiego - gwiazdolot przecież umiecie prowadzić wy.

- Nie wdychaj, Dimka - skarcił go Anton. - Czas już najwyższy, żebyś i ty popatrzył na dziwne krajobrazy bezimiennych planet. Tańczyć w kawiarni można i na Ziemi. Wykaż się tam, gdzie nie ma dziewcząt, ty wdychaczu...

- To są westchnienia zachwyty - odgryzł się Wadim. - Koniec końców, cóż to są tachorgi? Ogromne i wszystkim znane zwierzęta...

Saul uprzejmie upewnił się:

- Mam nadzieję, że nie działałem przemocą? Spodziewam się, że wasza zgoda jest w wystarczającym stopniu dobrowolna i niewymuszona?

- A jakże! - odpowiedział Wadim. - Przecież wolność to uświadomiona konieczność. A reszta - prawie się nie liczy.

- Saulu Replinie, przyjmuję pana w poczet naszych pasażerów - obwieścił Anton. - Start o dwunastej zero zero. Pańska kajuta jest trzecia z kolei, jeśli nie zechce pan zająć czwartej, piątej, szóstej czy siódmej. Chodźmy, pokażę panu.

Saul schylił się po teczkę i wtedy wyśliznął mu się zza pazuchy i ciężko upadł w trawę wielki, czarny przedmiot. Anton uniósł brwi. Wadim przyjrzał się dokładniej i również uniósł brwi. Był to skorczer - ciężki pistolet-dezintegrator o długiej lufie, strzelający wyładowaniami o napięciu milionów woltów. Takie przedmioty Wadim widywał jedynie w kinie. Na całej Planecie znajdowało się nie więcej niż sto egzemplarzy tej straszliwej broni i wydawano ją wyłącznie kapitanom desantowych gwiazdolitów o superdalekim zasięgu.

- Jakież jestem niezdarne - wymruczał Saul, podniósł skorczer i wsunął go pod pachę. Następnie wziął teczkę i oświadczył: - Jestem gotów.

Przez jakiś czas Anton patrzył na niego tak, jakby zamierzał o coś zapytać. W końcu rzekł:

- Chodźmy, panie Saulu. A ty, Wadimie, posprzątaj z grubsza mieszkanie i odnieś narzędzie staruszkowi. Jest w bagażniku. Naturalnie, mam na myśli narzędzie, a nie staruszka.

- Rozkaz, kapitanie - powiedział Wadim i poszedł do garażu.

Trudno być optymistą, myślał. A właściwie kto to jest optymista? Przypominam sobie, że w jakimś starym wokabularzu powiedziano, iż optymista to człowiek pełen optymizmu. Tamże pozycję dalej podano, że optymizm jest stanem, który charakteryzuje się pełnym radości życia odczuwaniem rzeczywistości i wiarą w lepszą przyszłość, w powodzenie. Dobrze być lingwistą - od razu wszystko ustawia się na właściwym miejscu. Pozostaje tylko pogodzić ze sobą rzeźkie, pogodne odczuwanie rzeczywistości z obecnością na pokładzie uzbrojonego po zęby lunatyka...

Wziął z bagażnika skalpel i bioelementy i poszedł do wujka Saszy. Staruszek siedział w kucki przy czerwonym ramforynchu.

- Wujku Saszo - powiedział Wadim. - Ma pan tu nowy skalpel i...

- Już nie potrzeba - przerwał mu wujek Sasza. Wstał. - Dziękuję. Podarowano mi właśnie to.

Poklepał pieszczotliwie swój nowy nabytek po wypolerowanym boku. - Mówią, że jest bardzo żywotny, no nie?

- Podarowano?

- Tak, dał mi go pewien młody człowiek w białym ubraniu.

- A więc to tak! - prawie krzyknął Wadim. - A więc był pewien, że poleci z nami. A może zamierzał siłą wtargnąć na "Okręt"?

- Co? - spytał wujek Sasza.

- Wujku Saszo - powiedział Wadim. - Czy wie pan, co to jest skorczer?

- Skorczer? Tak, wiem, oczywiście. Jest to małokalibrowe urządzenie przerzucające nawój nitkowy

w automatach tkackich. Wprawdzie teraz ich nie ma, ale pamiętam, jeszcze jakieś siedemdziesiąt lat temu...
A co, ten człowiek w białym ubraniu jest starym tkaczem?

- Może i jest, ale skorczer ma, wujku Saszo, bynajmniej niemałokalibrowy.

Wadim poszedł w zadumie do swego domku. Wrzucił do zsypu na śmieci bieliznę pościelową, przestawił automatykę gospodarczą na jałowy bieg i wyszedłszy na ganek, napisał ołówkiem na drzwiach: "Wyjechałem na urlop. Proszę nie zajmować." Potem ruszył do Antona. Sprzątając jego domek, nadal rozmyślał. Koniec końców, nie wszystko jeszcze stracone. Tachorgi na dobrą sprawę porządnie już się wszystkim przejadły. Pandora jest tylko bardzo modnym uzdrowiskiem. Jak ja tam mogłem wysiedzieć przez trzy sezony? Co za wstyd, pomyślał nagle z entuzjazmem. Przecież kiedyś chwaliłem się na prawo i lewo naszyjnikami z zębów tachorga i plotłem niestworzone historie o Pandorze! Ciskać w Samsona czaszką tachorga - jakież to banalne! Samson zasługuje na coś bardziej wyrafinowanego; Samson zostanie unieśmierteliony. Jak nieznana planeta, to nieznana planeta. Po nieznannej planecie włączą się nieznane stwory. Nie wiedzą jeszcze, biedaczyska, jak się nazywają. A ja już wiem. Zdobędę tam pierwszego w dziejach "samsona nieparzystonogiego błoniastouchego" albo, powiedzmy, "samsona niepełnozębego grzebieniastozadego..." Rzucić w Samsona czaszką samsona - czegoś takiego jeszcze nie było.

Kiedy wrócił na łączkę, "Okręt" był gotów do startu. Jego wierzchołek już nie kierował się ku słońcu, szron na trawie dokoła znikł bez śladu.

Wadim wygodnie ulokował się we włączce, zwiesiwszy nogę. Patrzył na domek Antona z rozsuniętą ścianą, na zielone korony sosen, na niskie obłoki, w których raz pojawiały się, raz znikwały błękitne prześwity. Tak to jest, druho Samsonie, bracie mój nieparzystonogi, pomyślał mściwie. Może poradziłbyś sobie z jakimś biblijnym lwem, lecz gdzie ci tam do lingwisty strukturalnego... A najzabawniejsze, że nigdy by mi nie przyszło do głowy wlec się dla rozrywki na nieznaną planetę, gdyby nie ten staruszek w białym ubraniu. Więc aż tak gnuśny z nas ludek, nawet najlepsi spośród lingwistów strukturalnych! Pociągają nas tylko ucywilizowane planety...

Na łączkę wyszedł terier Trofim. Pomrukał na Wadima dobrymi, zażawionymi ślepiami, ziewnął, usiadł i zaczął się drapać tylną łapą za uchem. Życie było piękne i urozmaicone. Weźmy choćby takiego Trofima, pomyślał Wadim. Stare to, głupie, poczciwe, ale - kto by pomyślał - może jeszcze kogoś nastraszyć... A może wszyscy lunatycy boją się szczekania psa? Wadim wlepił w Trofima badawczy wzrok. A dlaczego właściwie uznałem, że Saul Replin jest lunatykiem, czy jak to się tam nazywało?... Skąd takie wydumane przypuszczenie? O wiele prościej założyć, że historyk Saul to żaden historyk, a po prostu szpieg jakiejś humanoidalnej rasy, działający na naszej planecie. Jak Benny Durów na Tagorze... To byłoby wspaniałe - cały miesiąc nieznanymi planetami i tajemniczymi nieznajomymi... I jak wszystko doskonale da się wyjaśnić! Samodzielnie z Ziemi wydostać się nie może, psów się boi, a na nieznanej planecie musi dotrzeć dlatego, że tam mają przysłać po niego statek - na neutralny grunt, że się tak wyrażę. Wróci do siebie i opowie: tak to a tak - dobrzy z nich ludzie, pełni optymizmu, i nawiążemy z nimi normalne, humanoidalne stosunki...

Wadim opamiętał się nagle i krzyknął w korytarz:

- Antonie, jestem na pokładzie!

- Nareszcie! - odkrzyknął Anton. - Obawiałem się już, żeś zdezerterował.

Zza drzew, paskudnie kręcąc ogonem, wyleciał chudy, czerwony ramforynch i nienaturalnie wyjąć zaczął zataczać wokół "Okrętu" honorowy krąg. Wujek Sasza otworzył drzwiczki i wymachiwał czymś białym. Wadim pomachał mu w odpowiedzi.

- Start! - uprzedził Anton.

"Okręt" drgnął i łagodnie podskoczywszy - Wadim zdążył jeszcze odepchnąć się nogą od ziemi - zaczął unosić się w niebo.

- Dimka! - zawołał Anton. - Zamknij wreszcie właz! Wieje!

Wadim ostatni raz pomachał wujkowi Saszy, podniósł się i zaciągnął błonę włazu.

Rozdział 2

Amon włączył cyberpilota i założywszy ręce na brzuchu, w zadumie patrzył na ekran. "Okręt" szedł na północ wzdłuż południka. Wokół rozpościerało się ciemnofioletowe niebo stratosfery, a głęboko w dole bieląca mętna zasłona obłoków. Wydawała się gładka i równa, a tylko gdzieniegdzie można się było domyślić zapadłisk gigantycznych lejów nad makro-stacjami meteorologicznymi - synoptycy spuścili deszcz nad Europą Północną, a teraz zapędzali chmury do pułapek.

Anton rozmyślał nad dziwactwami ludzkimi. Wspominał dziwnych ludzi, z którymi się stykał. Jakub Osinowski, kapitan "Herkulesa", nie znosił łysych. Po prostu gardził nimi. "Przestańcie mnie przekonywać", mówił. "Pokażcie mi lepiej choć jednego łysego, który byłby prawdziwym człowiekiem." Z pewnością łysi kojarzyli mu się z czymś nieprzyjemnym, ale co to było, nie wiedział nikt. Nie zmienił się nawet wtedy, kiedy sam doszczętnie wyłysiał podczas katastrofy sarandackiej. Wykrzykiwał tylko z wyraźną goryczą: "Jedyny! Zauważcie tylko - jedyny wśród nich!"

Walter Schmidt z bazy "Hatteria" równie dziwacznie odnosił się do lekarzy. "Lekarze..." cedził przez zęby z nieprzyzwoitą pogardą. "Znachorami byli i znachorami pozostaną. Dawniej mamilili zakurzoną pajęczyną i zgniłą krwią żmii, a teraz czarują polem psychodynamicznym, o którym nikt nic nie wie. Co komu do tego, co ja mam w środku? Głowonogi żyją po tysiąc lat bez żadnych lekarzy i do tej pory pozostają szczęśliwie władcami głębin..."

Wołkowa przezywano Dreadnoughtem*, [* dreadnought (ang) - pancernik (okręt), dosł. straszliwy, nieustraszony] a on był z tego bardzo zadowolony: Dreadnought Adamowicz Wołków. Kaneko nigdy nie jadał niczego gorącego. Ralf Pinetti wierzył w lewitację i uporczywie trenował... Historyk Saul Repnin boi się psów i nie chce mieszkać wśród ludzi. Nie zdziwi mnie, jeśli się okaże, że nie chce mieszkać wśród ludzi właśnie dlatego, iż boi się psów. Dziwne, prawda? Ale z tego powodu nie stanie się gorszy, niż jest.

Dziwactwa... Nie ma żadnych dziwactw. Są po prostu różnice. Zewnętrzne świadectwa nieodgadnionych procesów tektonicznych w głębinach ludzkiej natury, gdzie rozum walczy na śmierć i życie z przesadami, gdzie przyszłość na śmierć i życie walczy z przeszłością. A my koniecznie chcemy, żeby wszyscy dokoła byli głacy, tacy jak ich sobie wymyślamy na miarę naszej skąpej fantazji... aby można było ich opisać elementarnymi funkcjami dziecięcych wyobrażeń: dobry wujek, chciwy wujek, nudny wujek. Straszny wujek. Dureń.

Tymczasem Saul nie widzi nic dziwnego w lęku przed psami. I Kaneko uważa za zupełnie naturalny wstręt do gorących pokarmów. Tak samo Wadimowi nigdy nie przyjdzie do głowy, że jego idiotyczne wierszyki temu i owemu mogą się wydać nie zabawne, a dziwaczne. Na przykład Hali.

A weźmy teraz mnie. Wybierałem się na Pandorę. Gdyby o tym dowiedział się, powiedzmy, kapitan Małyszew, popatrzyłby na mnie ze zdumieniem i powiedział: "Jeśli zamierzasz odpoczywać, to zapewniam cię, że lepszego miejsca od Ziemi nie znajdziesz nigdzie. Natomiast jeśli postanowiłeś popracować, to weź czarny układ EN 8742, który czeka na swą kolej według planu, albo giganta EN 6124 - interesują się nim z jakiegoś powodu specjaliści na Tagorze." I Małyszew miałby rację. Ale żeby mnie zrozumiał i przestał patrzeć na mnie ze zdumieniem, musiałbym powiedzieć, że stęskniłem się za Dimką i że Dimka ma ochotę

strzelać do tachorgów.

Anton uśmiechnął się gorzko. Po cóż ja tak komplikuję sprawy? Po prostu teraz wszyscy latają na Pandorę i pewnego razu Hala powiedziała mi, że chętnie by się tam wybrała. Tak organizuje się w naszych czasach przeloty. I tak łatwo zmieniają się plany. Czy mógłbym się przyznać Małyszewowi, że chodzi tu wyłącznie o Halę? Dlaczego człowiek w żaden sposób nie potrafi nauczyć się żyć bez komplikacji? Z jakichś bezdennych patriarchalnych głębin co i rusz wypływają pycha, egoizm, urażona duma. I zawsze znajdzie się coś do ukrycia. I coś, o czym trudno jest mówić.

Anton popatrzył na bukietek goździków leżący przed ekranem. Ech, Halu, pomyślał. Chuchnął na pulpit i napisał palcem na znikającym matowym krążku: "Ech, Halu!" Litera szybko ulotniła się, nie zdążył nawet dostawić wykrzyknika. Wówczas ponownie chuchnął na pulpit i postawił wykrzyknik oddzielnie. Potem znowu wyciągnął się w fotelu i po raz sto pierwszy usiłował rozebrać logicznie następujące zdanie: "Kocham dziewczynę, ona mnie nie kocha, a tylko lubi; co robić?"

W gruncie rzeczy co by się zmieniło, gdyby mnie pokochała? Mógłbym ją obejmować i całować. Stale przebywalibyśmy razem. Chodziłbym dumny jak paw. I to, zdaje się, wszystko. Głupio, ale chyba wszystko. Po prostu spełniłoby się jeszcze jedno marzenie. Jak ubogo wszystko wygląda, gdy się rozumuje logicznie. A w inny sposób rozumować nie potrafię. Pusty ze mnie człowiek, cynik. Zobaczył Halę, Halę, która coś mówi - trochę przez ramię, a oczy ma przysłonięte rzęsami... Dlaczego wszystko jest tak głupio urządzone: można wyciągnąć człowieka ze wszystkich drobnych kłopotów - z choroby, z apatii, ze śmierci, i tylko w prawdziwym kłopotcie - w miłości - nikt mu nie pomoże... Zawsze znajdzie się tysiąc doradców i każdy będzie radził samemu sobie. I co dziwniejsze, taki nieszczęśnik sam nie chce, by mu pomagano. Paranoja.

- Przepraszam, a dokąd pan się wybiera? - głośno zapytał Saul.

- Do sterowni - odpowiedział Wadim.

- Proszę chwilę poczekać! Przecież właściwie jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy...

Drzwi do sterowni były otwarte. Anton słuchał przez cały czas jednym uchem, jak w mesie dwa głosy terkoczą coś o tachorgach, zaroślach i mechanizmach zjawisk historycznych. Teraz zaczął słuchać uważniej. - Przecież, zdaje się, ma pan na imię Wadim? - powiedział Saul.

- Przeważnie - oświadczył z powagą Wadim. - Ale czasami nazywają mnie Najstrukturalniejszym, czasami Latającym Bykiem, a w specjalnych wypadkach - Dimeczką.

- Wobec tego - Wadim. A ile pan ma lat?

- Dwadzieścia dwa lokalno-ziemskie.

- Lokalno... No tak, ma się rozumieć... Jak pan powiedział? Lokalno-ziemskie?

- Dwa. W dawnych ekspedycjach pozaukładowych nie uczestniczyłem.

- No pewnie. Tak właśnie myślałem. A pana ojciec kim będzie?

- Kim będzie? Zapewne już pozostanie melioratorem.

- E-e... Rozumiem... O to mi właśnie chodziło.

Nastąpiła krótka pauza w rozmowie.

- Bardzo elegancki stół - zauważył nieco zmieszany Saul.

Znowu pauza.

- To dobry stół. Solidny.

- A pańska mamusia?

- Mamusia? Będzie... to jest... ee... nadzorcą stacji. Pracuje na mezojądrowej stacji.

Saul nerwowo zabębnił po stole palcami.

- Tak nie trzeba, panie Wadimie - poprosił. - Pan nie powinien zwracać uwagi na mój sposób wysławiania się. Oczywiście, mówię trochę dziwacznie i chyba nieco śmiesznie... Widzi pan, chodzi o to... Cały mój styl życia... Mój, że się tak wyrażę, modus vivendi... Mam wąską specjalizację. Wyłącznie dwudziesty wiek. Jestem - jak się mówiło dawniej - mołem książkowym. Wiecznie w muzeach, wiecznie ze starymi księgami...

- Wpływ otoczenia.

- Tak-tak, no właśnie. Rzadko obracam się wśród ludzi, a teraz mi właśnie wypadło. Czy zna pan profesora Arnautowa?

- Nie.

- Wybitny specjalista. Jest moim przeciwnikiem ideowym. Poprosił mnie o sprawdzenie pewnych aspektów swojej nowej teorii. Przecież nie mogłem się nie zgodzić, prawda? Dlatego mi oto wypadło... porzucić pielesze... Otóż... Ale dlaczego mówimy wciąż o mnie i tylko o mnie? Pan, zdaje się, jest lingwistą strukturalnym?

- Tak.

- Czy to ciekawa praca?

- A czy w ogóle istnieją jakieś nieciekawe?

- Tak, rzeczywiście... Czym się więc pan zajmuje?

- Zajmuję się analizą strukturalną. Ale proszę uwzględnić, panie Saulu, że ja wyrzekłem się wszelkich spraw ziemskich. Lepiej już opowiem coś o tachorgach.

- Ależ nie, dziękuję, o tachorgach nie warto. Proszę lepiej opowiedzieć, jak pan pracuje.

- Panie Saulu, przecież powiedziałem, że się wyrzekłem.

- Ale jakże to tak można - wyrzec się? Czyżby pan teraz zupełnie nie myślał o pracy?

- Wprost przeciwnie. Cały czas myślę. Zawsze myślę o tej pracy, którą wykonuję na bieżąco. Właśnie jestem superkargo i drugim pilotem - to na wypadek, gdyby Antenowi przytrafiło się wodogłowie. Zresztą o tym ja już, zdaje się... Akurat nabrałem strasznej ochoty, żeby poprowadzić trochę "Okręt".

- Ale jeszcze pan zdąży poprowadzić! Ja nie proszę, aby pan mi opowiedział o istocie pańskiej pracy, lecz jedynie o jej zewnętrznej formie, że się tak wyrażę... A więc przychodzi pan do pracy. Zwyczajny powszedni dzień...

- Dobrze. Powszedni dzień. Kładę się na komputerze i myślę.

- No-no... Niech pan zaczeka - na komputerze? No tak, rozumiem. Pan jest lingwistą, i kładzie się pan na... I co dalej?

- Myślę godzinę. Myślę drugą. Myślę trzecią...

- I wreszcie?

- Myślę pięć godzin i nic mi nie wychodzi. Wtedy złączę z komputera i wychodzę.

- Dokąd?

- Na przykład do ogrodu zoologicznego.

- Do ogrodu zoologicznego? Dlaczego właśnie do ogrodu zoologicznego?

- Tak sobie. Lubię zwierzęta.

- A co z pracą?

- A co ma być? Przychodzę na drugi dzień i znowu zaczynam myśleć.

- I znów pan myśli przez pięć godzin i idzie potem do ogrodu zoologicznego?

- Skądże znowu?! Zwykle w nocy przychodzą mi głowy jakieś idee, a następnego dnia tylko je dopracowuję do końca. A potem komputer przepala się.

- No jasne. I wtedy pan wychodzi do ogrodu zoologicznego.

- A co tu ma do rzeczy ogród zoologiczny? Zaczynamy naprawiać komputer. Naprawiamy do rana.

- No a potem?

- A potem kończą się dni powszednie i zaczyna się nieprzerwane święto. Wszyscy są podekscytowani i myślą o jednym: zaraz wszystko stanie i trzeba będzie myśleć od nowa.

- No dobrze. Tak wygląda dzień powszedni. Ale nie można przecież cały czas pracować...

- Nie można - powiedział Wadim z żalem. - Ja, na przykład, nie mogę. Koniec końców trafiasz w ślepy zaułek i musisz się trochę rozerwać.

- W jaki sposób?

- Jak wypadnie. Na przykład, jeżdżę na bojerach. Czy pan też lubi jeździć na bojerach?

- E-e... Jakoś nie miałem okazji.

- Ależ to niesłychane! Muszę pana koniecznie przewieźć. Jaki ma pan wskaźnik zdrowia?

- Wskaźnik zdrowia? Jestem w pełni zdrow. A nad czym pan teraz pracuje?

- Nad syntezą struktur rozłącznych.

- A po co to jest potrzebne?

- Co to znaczy "po co"?

- No, kto będzie miał z tego jakiś pożytek?

- Każdy, kto się tym zainteresuje. Właśnie teraz projektuje się uniwersalny translator. Będzie składać struktury rozłączne.

- Panie Wadimie, czy tutaj, na "Okręcie", można posłuchać muzyki?

- Oczywiście. A co pan sobie życzy"? Może "Trel" Schayera? Przy tej muzyce świetnie prowadzi się "Okręt".

- A Bach?

- O, Bach! Zdaje się, że mamy i Bacha. Wie pan co, Saulu? Przecież z panem na pewno będzie bardzo przyjemnie słuchać muzyki.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Zawsze przyjemnie jest słuchać muzyki z człowiekiem, który ją dobrze zna. Lubi pan Mendelssohna?

- Pan zna Mendelssohna?

- Panie Saulu! Mendelssohn - to najlepszy ze starych kompozytorów! Spodziewam się, że pan lubi Mendelssohna. Co prawda, kiepsko go się słucha na pokładzie "Okrętu". Rozumie mnie pan?

- Chyba tak... Ja słucham Mendelssohna w moim przytulnym gabinecie...

Rozgadali się wreszcie, pomyślał Anton. Spojrzał na zegarek. "Okręt" wchodził w strefę startową nad Biegunem Północnym. Na ekranie w fioletowej głębi pojawiły się ciemne punkciki czekających na start gwiazdolotów. Anton krzyknął przez drzwi:

- Wybaczcie, że przerywam. Wkrótce start. Dimka, pokaż panu Saulowi, jak ma się zachowywać w komorze bezinercyjnej.

Anton posłał do stacji kontrolnej zapytanie o program czekającego ich przelotu i po trzydziestu minutach, podczas których "Okręt" dryfował w stratosferze z dwoma dziesiątkami innych wielkich i małych gwiazdolotów, otrzymał program przejścia, siedem wariantów programu podróży powrotnej i zezwolenie na wyjście w Podprzestrzeń. Wówczas poprosił pasażerów o udanie się do komór, potem wszedł do własnej, sprawdził, czy wszyscy są gotowi, i dał "Okrętowi" komendę "start!"

Jak zawsze, Amonowi zrobiło się niedobrze. Przez całe ciało przebiegła fala gorąca, twarz i plecy zaś pokrył zimny pot. Anton osowiałym wzrokiem śledził, jak czerwona strzałka posuwa się skokami po skali, mierząc szybko zmieniającą się krzywizną przestrzeni. Dwieście rیمانów... czterysta... osiemset... Tysiąc sześćset rیمانów na sekundę... Przestrzeń wokół "Okrętu" związała się coraz ciasniej. Anton wiedział, jak to wygląda z boku. Wyraźny czarny stożek "Okrętu" zaczyna drżeć i rozmazywać się, powoli roztopia się i nagle całkiem znika, a na jego miejscu rozbłyskuje w słońcu olbrzymi obłok zestalonego powietrza. Temperatura na sto kilometrów wokół gwałtownie spada o pięćdziesiąt stopni... Trzy tysiące rیمانów. Ognista strzałka zatrzymała się. Epsilon-derytrynitacja dobiegła końca i nastąpiło przejście w Podprzestrzeń. Z punktu widzenia ziemskiego obserwatora "Okręt" był teraz "rozmazany" na przestrzeni stu pięćdziesięciu parseków od Słońca do EN 7031. Teraz czekało ich przejście powrotne.

Przy wychodzeniu z Podprzestrzeni zawsze istnieje niebezpieczeństwo znalezienia się zbyt blisko jakiejś przyciągającej masy, a może nawet i wewnątrz takowej. Co prawda, niebezpieczeństwo jest czysto teoretyczne. Znacznie łatwiej jest trafić prosto w komin Ermitażu po wypadnięciu nad Leningradem ze stratoplanu. W każdym razie historia ludzkości żadnego z tych zdarzeń nie zanotowała. Statek Antona szczęśliwie wyskoczył w normalną przestrzeń w odległości dwóch jednostek astronomicznych od żółtego karła EN 7031.

Anton przyszedł do siebie, otarł pot z czoła i opuścił komorę. W sterowni wszystko było w porządku. Przeszedł wzdłuż pulpitu, rzucił okiem na ekran, następnie wyłączył automatykę przejścia. Na pulpicie przed ekranem jak poprzednio leżał bukiet goździków. Anton zatrzymał się. "Szkoda", wymamrotał. Dotknął bukietka palcem i kwiaty rozsypały się na zielonkawy proszek. Biedactwa, pomyślał Anton. Nie wytrzymały. Zresztą, kto by to wytrzymał? Przypomniał sobie o pasażerach i zszedł do mesy.

Pomieszczenie mesy było okrągłe, prowadziły stąd drzwi do wszystkich ośmiu kajut i włąz na dół, gdzie znajdowały się magazyny, kuchnia-syntetyzator, prysznic i tak dalej. Anton obejrzał stół, fotele, docisnął kłapę zsypu i udał się do kajuty Wadima. Odsunął pokrywę komory, a ten, biały, mokry jak mysz, wyskoczył prosto na niego.

- Kiepsko się czujesz? - zapytał ze współczuciem Anton.

Wadim, dobywając z trudem głosu, zaśpiewał:

*Gwiazdnych rejsów wicher śwista
Zaczął się diabelski wiec
To w Podprzestrzeń wszedł lingwista
Najstrukturalniejszy spec.*

Ale prawie natychmiast postawił oparcie kanapy i usiadł.

- Oto dlaczego nie zostałem pilotem kosmicznym - powiedział lekko schrypniętym głosem.

- Za każdym razem to mówisz - rzekł Anton.

Wadim nie odpowiedział.

- Pójdę uwolnić Saula - oświadczył Anton.

- Słyszałeś naszą rozmowę? - spytał Wadim nie otwierając oczu.

- Tak.

- Ciekawy człowiek, prawda?

- Nie wiem - powiedział Anton. - Ale za to wiem, że coś go gryzie.

- No chyba. Innego z pewnością byś nie wziął na "Określ". Jak tylko wybierzemy się gdziekolwiek we dwóch, zaczniesz altruizować. Zaczeka], nie odchodź...

Anton zatrzymał się w drzwiach.

- Pleciesz straszliwe bzdury - powiedział - a Saulowi jest tam teraz z pewnością niedobrze. Nie uwierzysz, ale sądzę, że jest jeszcze marniejszym pogromcą przestrzeni niż ty.

Wadim niespodzianie zadeklamował tragicznym szeptem:

- O ślepcze! O ślepcze!... Nie, nie odchodź - mnie też jest niedobrze... Czyżbyś jeszcze nie rozumiał, kim on jest?

- Co masz na myśli?

Wadim wreszcie usiadł.

- Przecież on nie ma pojęcia o lingwistyce - powiedział. - Mam nadzieję, żeś to zauważył?

- A czy ty się znasz choć trochę na historii?

- Powiedz mi jeszcze, że to mól książkowy. Wszyscy znamy jednego takiego mola. Nazywa się Benny Durów. Pogadaj o nim z Tagorianami.

Anton uśmiechnął się mimo woli.

- Dobrze - powiedział. - Tylko ty mimo wszystko hamuj się trochę. Ja ciebie przywykłem znosić w dowolnych dawkach, ale na naszym nowym znajomym wywierasz wręcz przygnębiające wrażenie. Mniej żrebięcego optymizmu, a więcej taktu.

- Rozkaz, kapitanie - poważnie odpowiedział Wadim. - Tak jest, kapitanie.

Anton wyszedł. Omijając stół, znów się uśmiechnął: z Wadimem trudno się nudzić. W kajucie numer trzy najpierw rozłożył kanapę i dopiero wtedy odsunął pokrywę, przygotowując się do podtrzymania padającego ciała. Z komory buchnął błękitny dym. Anton aż odskoczył.

- Co, czyżby już? - rozległ się zza kłębow dymu głos Saula.

Anton wpatrzył się w niego. Saul siedział na swojej teczce postawionej na sztorc i palił długą czarną fajkę. Wyglądał na roztargnionego i całkowicie niefrasobliwego.

- Nie mdli pana? - spytał Anton, cofnął się i usiadł na kanapie.

- Ani trochę. Czy można już wychodzić?

- Proszę bardzo - odpowiedział Anton.

Saul wstał, sięgnął po teczkę i pochylając się wyszedł z komory.

- Jesteśmy prawie na miejscu - oświadczył Anton. - Pozostaje nam tylko wybrać planetę i zdecydować, gdzie wylądujemy.

Saul usiadł obok niego.

- Czy jesteśmy daleko od Ziemi? - spytał.

- Ze sto pięćdziesiąt parseków. To znaczy prawie na granicy zasięgu naszego "Okreću".

Wadim wrzasnął ze swojej kajuty:

- Saulu! Niech pan żąda planety podobnej do Ziemi! Skafander z pewnością się panu nie spodoba, a maska tlenowa jakoś ujdzie...

Anton wstał i starannie zamknął drzwi.

- Jest mi wszystko jedno, jaką wybierzemy planetę - cicho powiedział Saul. - Ale, oczywiście, lepiej taką, na której można oddychać. - Nagle uśmiechnął się. - To nadzwyczaj ważne, żeby można było oddychać. - Anton popatrzył na niego z uwagą. - Ale najważniejsze - żeby tam nikogo nie było...

- A więc tak - zaczął Anton - planetę panu znajdziemy. To drobiazg. Mamy na pokładzie kopułę mieszkalną na sześć osób, mamy glider, nie zabraknie nam zapasów żywności, jest dobra radiostacja. Pomożemy się panu urządzić i od razu odlecimy. Zgoda?

Saul siedział ze spuszczoną głową.

- Tak - powiedział zachrypniętym głosem. - Tak będzie najlepiej. Z pewnością.

- No to w porządku. - Anton pchnął drzwi. - Ja pójdę do sterowni, a pan... Jeśli ma pan ochotę, niech pan też przyjdzie.

W kabinie pilota Anton włączył katalog pokładowy i przejrzał informacje dotyczące układu EN 7031. Informacje okazały się nieciekawe. Wokół żółtego karła krążyły cztery planety i dwa pasy asteroidów. Druga planeta wydawała się odpowiednia: była ziemopodobna i znajdowała się w odległości półtorej jednostki astronomicznej od swego słońca. Anton przekazał współrzędne automatycznemu nawigatorowi.

Z mesy dochodziły głosy.

- Jak pan zniósł przejście, panie Saulu?

- Jakie przejście? Nie zauważyłem żadnego przejścia.

- Tak właśnie myślałem.

- Co?

- Że pan nie zauważy. Chce pan wziąć prysznic?

- Nie. A czy długo jeszcze musimy lecieć?

- Na pewno nie. Czujecie coś? - "Okreću" drgnął i podłoga uciekła spod nóg. - O, właśnie weszliśmy na trajektorię. Chodźmy do sterowni, dobrze?

- Nie będziemy przeszkadzać?

- Skądże. To przecież tylko lot turystyczny. Naturalnie w desantowym lub rejsowym gwiazdolocie nie wpuszczono by tam nas... Po co pan nosi ze sobą teczkę?

- Jest dla mnie cenna...

- To niech pan jej nie stawia na klapie zsyphu.

Anton uważnie oglądał obraz planety na ekranie. Była błękitna jak Ziemia, pokryta białym całunem obłoków, ale zarysy lądów wyglądały obco - jeden wielki kontynent ciągnął się wzdłuż równika, inny, mniejszy, był wysunięty ku biegunowi.

- Oto pańska planeta - powiedział Anton i wziął kartkę, która wypadła ze szczeliny analizatora. - Wspaniała planeta. Ciśnienie jak na Ziemi. Doba - dwadzieścia osiem godzin, masa - jeden i jedna dziesiąta. Szkodliwych gazów brak. Tlenu jest dużo. Dwutlenku węgla trochę mało, ale to nie powinno pana martwić.

Popatrzył na Saula. Saul oglądał swoją planetę z jakimś dziwnym wyrazem twarzy. Jego kosmate brwi uniosły się w górę, wygięły w łuki, i Antonowi wydało się nawet, że jeszcze trochę i Saul się rozplacze. Wzruszyło to Antona.

- Przyjaciele! - powiedział nagle Wadim. - Nazwijmy tę planetę Saula.

- Nadaję jej imię "Saula"! - powiedział uroczyście Anton.

Przygiął do siebie tubę dziennika pokładowego i podyktował:

- Juliański dzień dwadzieścia pięć czterdzieści dwa dziewięćset sześćdziesiąt siedem. Druga planeta układu EN 7031 otrzymuje nazwę "Saula" od imienia członka załogi historyka Saula Repnina.

Wszystko to nie miało absolutnie żadnego znaczenia. Planety obdarzano nazwami statków i miast, i imionami ulubionych bohaterów literatury pięknej, nazwami przyrządów albo po prostu nadawano im imiona, wykorzystując przeróżne połączenia dźwięków. A jeśli komuś brakowało fantazji, brał jakąkolwiek książkę, otwierał na dowolnej stronie, wybierał pierwsze z brzegu słowo i jakoś je przekształcał. W ten sposób powstawało coś w rodzaju Śmiechowiny, Padraki lub Brewii.

Ale Saul był niesamowicie wzruszony. Mamrotał "dziękuję, dziękuję, przyjaciele" i ścisnął Wadimowi rękę. Było to bardzo wzruszające.

A tymczasem planeta rosła. Kiedy na ekranie pozostał jedynie kontynent rozciągnięty wzdłuż równika, Anton zapytał:

- A więc gdzie będziemy lądować, panie Saulu?

Saul dźgnął palcem prawie w sam środek kontynentu. Antonowi wydało się nawet, że zrobił to z zamkniętymi oczami.

- Kocha-a-ani - przeciągnął Wadim. - Wylądujemy bliżej wybrzeża.

Było jasne, że chce się wykąpać. Wykąpać się w oceanie Sauli, w falach, które nie omywały jeszcze ani jednego Ziemianina, a może nawet ani jednej istoty rozumnej.

- N-no... Bliżej wybrzeża, to bliżej wybrzeża - niepewnie odezwał się Saul. Popatrzył na Antona. - Dla moich celów - kaszlnął - wybór miejsca nie jest istotny.

- Cudownie! - odpowiedział Wadim. Zręcznie usiadł w fotelu obok Antona. - Starczy! - oświadczył. - Kapitan uległ paraliżowi, a więc w stanie ciężkim odniesiono go do kajuty. Barczysty i przystojny drugi pilot przejął sterowanie. - Położył palce na kontaktach biosterowania i "Określ" od razu zwałił się w przepaść. Kontynent na ekranie zaczął się nieprzyjemnie przekręcać. Wadim obwieścił:

Jak lazienka blacha drżycie,

*Bom do sterów właśnie siadł,
Lecz ocali wasze życie
Najstrukturalniejszy chwyt.*

Saul hałaśliwie wypuścił z rąk teczkę i wczepił się Antonowi w ramię.

- Dimka, powiedz chociaż, gdzie celujesz - poprosił Anton.
- Tam - odrzekł mgliście Wadim. - Gdzie błękitne fale pieszczą piasek.

Statek zarzuciło na prawą burzę.

- Łagodniej, łagodniej - powiedział Anton. - Mniej emocji. Nie trafisz w kontynent.
- Może trafię.
- Hamuj! Przecież widzisz, że zarzuca!
- Ja wszystko widzę.
- Och, ale zaraz gruchniemy! - powiedział Amon w przestrzeń.
- Nie strachaj się, nie strachaj - pogadywał Wadim.

Ekran zmatowiał. "Okręt" wszedł w atmosferę. Wybuchła i przepadła tęcza na chmurach twardego powietrza. Zamigotały białe i czarne plamy.

- Odmuch - poradził Anton.
- Wiem.
- Och, ale cię tłucze i przekrzywia!

Wadim szybko powiedział:

- Przejmujesz sterowanie - koniec z przyjaźnią.
- Niech pan, panie Wadimie, w samej rzeczy nie spudłuje - powiedział Saul ostrożnie.

Karuzela na ekranie skończyła się. Szybko pomknęło im naprzeciw jakieś białe pole, potem ekran ściemniał i zgasł. Statek drgnął.

- No i koniec - powiedział Wadim. Przeciągnął się, zachrząsał stawami palców.
- Co to znaczy "koniec"? - spytał Saul. - Czyżby awaria?
- Wylądowaliśmy - wyjaśnił Anton. - Serdecznie witamy na Sauli.
- A jednak pan trafił - zwrócił się Saul do Wadima.
- A jakże, trafił - zgodził się Anton. - Panu Bogu w okno - dodał przewrotnie. - Wiesz, Dimka, o ile chybiłeś? O jakieś dwieście kilometrów. Ale ekran zdążyłeś wyłączyć, zuch z ciebie.

- Nawyk - powiedział niedbale Wadim.

Anton wstał.

- A nawiasem mówiąc, co to znaczy "łazienna blacha"?

Wadim również wstał.

- Wiesz, Toszka, sprawa jest dość skomplikowana. Istnieje taki archaiczny idiom "drzeć jak łazienna blacha". Łazienna blacha to płyta z żarem - zaczął pokazywać rękami. - Wstawiano ją w paleniska kurnych łaźni i kiedy robiono parę, to znaczy spryskiwano palenisko wodą, rozżarzona blacha zaczynała wibrować.

Saul niespodzianie parsknął śmiechem. Śmiał się do rozpuku i z wyraźną rozkoszą, wycierając łzy dłonią i przytupując. Nikt niczego nie rozumiał, lecz po minucie śmiali się już wszyscy.

- Zabawny zwyczaj, nieprawdaż? - zauważył Wadim, kaszląc ze śmiechu.
- Doprawdy, Saulu, z czego się pan tak śmieje? - spytał Amon.
- Och - wykręcał się Saul. - Tak się cieszę, że przybyłem na własną planetę...

Wadim przestał się śmiać.

- Koniec końców, nie jestem słowianoznawcą - powiedział z godnością. - Moja specjalność to analiza strukturalna.

- No dobrze - powiedział Anton. - Wyjdźmy na zewnątrz. Wszyscy wyszli ze sterowni. Wadim, przytrzymując Saula za łokieć, mówił:

- To nie jest mój wymysł. Przedstawiłem tylko najbardziej rozpowszechnioną hipotezę.

- Nieważne, nieważne - szybko odparł Saul. Spowaźniał nagle. - Ta pańska hipoteza jest na tyle odległa od prawdy, że nie mogłem się powstrzymać. Jeśli uraziłem pana - przepraszam.

- A pan, osobiście, jak uważa? - pytał Wadim.

Saul odpowiedział z rozdrażnieniem:

- Nie ma takiego wyrażenia: "drzeć jak łaźnienna blacha". Są wyrażenia: "drzeć jak liść osiki" i "przyklepiać się jak liść łaźnienny".

- Ale "przyklepiać się jak liść" - to prymitywna metafora. Wywodzi się od lepkich liści lipy. Jak może przyklejać się blacha, taki blaszany liść łaźnienny? To przecież nie jest liść rośliny. A w ogóle z jakiej racji liście jakichś roślin miałyby się dostać do łaźni? Śmieszne!

Anton otworzył błonę wjazdu. Ostre, mroźne powietrze wtargnęło do wnętrza "Okreću". Saul odepchnął Wadima i krzyknął:

- Niech pan zaczeka! Proszę mnie przepuścić pierwszego!

Anton, który już przestępował próg, zatrzymał się. Saul przecisnął się do przodu, trzymając skorczer nad głową.

- Chce pan iść pierwszy? - spytał Amon z uśmiechem.

- Tak - wymamrotał Saul. - Lepiej, żebym to był właśnie ja.

Dotarł do wąskiego wjazdu i zatrzymał się, zagrządzając przejście. Idący tuż za nim Anton ubódł go głową.

- Naprzód, panie Saulu - popędzał go.

Saul stał nieruchomo. Z tyłu Wadim niecierpliwie postukał Antona w przygarbione plecy.

- Niechże pan da nam przejść, Saulu - poprosił Anton.

Saul wreszcie odsunął się i Anton wyszedł na zewnątrz. Dookoła leżał śnieg. W powietrzu wirowały wielkie, leniwe płatki. "Okreću" stał wśród jednakowych, okrągłych pagórków, ledwie widocznych na białej równinie. Pod nogami sterczała ze śniegu krótka, bladozielona trawka i mnóstwo drobnych niebieskich i czerwonych kwiatów. A o dziesięć kroków od wjazdu, przyprószony śniegiem, leżał człowiek.

Rozdział 3

Wadim wyszedł z "Okreću" ostatni i od razu zwrócił się do Saula, nawiązując do przerwanej rozmowy:

- Najprościej byłoby sprawdzić w starych słownikach Dala i Uszakowa. Ale na pokładzie...

Wtem zauważył, że Saul wcale go nie słucha. Saul trzymał skorczera w pozycji strzeleckiej - lufą na zgiętym łokciu - i twarz miał zaniepokojoną. Oczy biegały mu nerwowo. Wadim szybko rozejrzał się i też zobaczył człowieka.

- Masz ci los - powiedział skonsternowany.

Anton podszedł do leżącego, a Saul pozostał na miejscu. Czyżbym go potracił "Okrećem" przy lądowaniu? z przerażeniem pomyślał Wadim. Wszystko ścisnęło mu się w środku od tej myśli. Ruszył za Antonem i także pochylił się nad ciałem. Spojrzał tylko i natychmiast wyprostował się, odwracając głowę w inną stronę. Dookoła ciągnęły się przygnębające pagórki, zaśnieżone i jednakowe, niebo było zasnut niskimi obłokami, a na horyzoncie ledwie majaczyły blade zarysy górskiego pasma. Jaka to smutna planeta, pomyślał.

Pola wciąż i góry.

Śnieg po cichu wszystko skradł...

Wszędzie taka pustka.

Anton przykląkł i ostrożnie dotknął dłoni leżącego. Dłoń była wąska, biała, o szczupłych, porcelanowych palcach, długie paznokcie mieniły się złotem.

- No? - spytał Wadim i przełknął ślinę.

Anton wstał i starannie starł śnieg z gołych kolan.

- Zamarzł. Kilka dni temu. I był bardzo wycieńczony.

- Żadnej nadziei?

Anton kiwnął głową twierdząco.

- To już kamień.

- Kamień... - powtórzył Wadim. - Jakże to tak? Popatrz, to jeszcze dziecko... - Zmusił się do popatrzenia na twarz umarłego. - Spójrz tylko, podobny jest do Walerki! Pamiętasz Walerkę?

Anton położył mu rękę na ramieniu.

- Tak, podobny.

- Tak się wystraszyłem. Myślałem, że potraściłem go podczas lądowania.

- Nie, leży tu już kilka dni. Padł z wycieńczenia i zamarzł na śmierć.

- Słuchaj, Antonie, a dlaczego jest w samej koszuli?

- Nie wiem. Chodźmy na "Okreć".

Wadim nie ruszył się z miejsca.

- Nic nie rozumiem. To znaczy, że nie jesteśmy tu pierwsi?

Obejrzał się, szukając wzrokiem Saula. Nie było go widać.

- Antonie, może się pomyliłeś? Może da się jeszcze coś zrobić?

- Chodźmy, chodźmy już, Dimka.

- A co z nim?

- Skąd mogę wiedzieć? Chodźmy.

Zobaczyli Saula. Powoli schodził w dół zboczem pagórka, ślizgając się po mokrym śniegu. Stali i czekali, aż się zbliży. Twarz miał smutną, na policzkach tajały duże płatki śniegu. Kolana oblepiał śnieg. Podszedł, wyjął z ust zgasłą fajkę i powiedział:

- Kiepska sprawa, młodzi ludzie. Tam jest jeszcze czterech. - Popatrzył na umarłego. - Też rozebrani. Co macie zamiar przedsięwziąć?

- Chodźmy na "Okręt" - zdecydował Anton. - Tam wszystko dokładnie obmyślimy.

W mesie siedli w fotelach i przez pewien czas milczeli. Wadim miał dreszcze. I z jakiegoś powodu bardzo mu się chciało mówić.

- A to ci planeta - powiedział, zaciskając szczęki. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Trudno cokolwiek zrozumieć. Co? Skąd? Dlaczego? Przecież twierdzono, że nikt tutaj wcześniej nie bywał. A najważniejsze, że to jeszcze chłopiec. Jak taki chłopiec mógł się tu dostać? - Umilkł i zamknął oczy, starając się odpędzić widok przyprószonej śniegiem twarzy.

Anton wstał i zaczął chodzić dokoła stołu z opuszczoną głową. Saul nabił fajkę.

- Pozwólcie mi zapalić - poprosił.

- Proszę bardzo - rzekł z roztargnieniem Anton. Zatrzymał się. - Oto co zrobimy - przemówił zdecydowanie. - Mamy przecież glider. Weźmiemy żywność i odzież, i po spirali spenetrujemy teren wokół "Okrętu". Na pagórkach mógł pozostać ktoś żywy.

W jego głosie brzmiały twarde, nie znane Wadimowi nutki. Wadim z zaciekawieniem popatrzył na niego i Anton dostrzegł to spojrzenie.

- Widzicie, przyjaciele - powiedział łagodnie - nie będzie wycieczki. Okoliczności są, według mnie, nadzwyczajne. Z pewnością będę musiał wydawać rozkazy, a wam pozostanie tylko podporządkować się. - Popatrzył na Saula i przepraszająco rozłożył ręce. - Sam pan widzi, panie Saulu, nic na to nie można poradzić...

- Tak - zgodził się Saul. - Tak. Oczywiście. Jestem gotów, kapitanie. Niech pan rozkazuje.

- A ty co, wszystko już zrozumiałeś? - spytał Wadim.

- Potem pogadamy - odpowiedział Anton. - Najpierw trzeba wyhodować glider. Chodź, Wadimie. Saul odłożył fajkę i również wstał, poprawiając na ramieniu pasek skorczera.

- Dziękuję, panie Saulu, sami damy sobie radę - powiedział Anton.

- Chciałbym pójść z wami - poprosił Saul. - Nie będę wam przeszkadzał, kapitanie.

Wynieśli Jajo i położyli je na wierzchołku pobliskiego pagórka. Śnieg zaczął padać gęściej, płatki łaskotały policzki i Wadim w rozdrażnieniu rozmazywał je po twarzy. Wiał wiatr i było mu strasznie zimno, gdy tak stali i patrzyli, jak Anton powoli i pedantycznie umocowuje aktywatory na gładkiej powierzchni mechanozarodnika. Wiatr parzył gołe ręce i nogi, a Wadim nagle pomyślał, że może gdzieś za pagórkami brną teraz, zapadając się po pas w zasy, boski ludzie w długich, szarych koszulach.

Anton wyprostował się i chuchnął parę razy na zaczerwienione ręce.

- Zdaje się, że dobrze - powiedział. - Sprawdź, Dimka.

Wadim ocenił rozmieszczenie aktyuatorów. Wszystko było w porządku. Wrócili na "Okręt". Saul szedł za nimi - przez cały czas trzymał się za ich plecami. "Okręt" już gromadził energię, jak czarna góra wznosząca się ponad bielą, a jego przechylony wierzchołek śledził niewidoczną EN 7031. Po drodze Wadim zerwał kilka kwiatków i od razu zrobiło mu się ich szkoda - takie były żalosne i blade.

I żywych, i martwych

Śnieg po cichu wszystko skradł...

Wszędzie taka pustka.

Śnieg walił coraz gęstszy i kiedy podeszli do "Okrętu", Saul powiedział:

- Wkrótce wszystko zawieje. Czy nie warto by było przeprowadzić sekcję?

- Po co? - zapytał Anton. - On jest beznadziejnie martwy.

- Właśnie dlatego. Trzeba by wyjaśnić, dlaczego umarli.

- Zamarzli - dopowiedział Anton. - I nie jest nam potrzebna żadna sekcja.

- Wydawało mi się... - zaczął Saul, ale umilkł i zniknął we włązie.

W mesie Anton powiedział:

- Niech pan mnie zrozumie, ja nie jestem prawdziwym lekarzem. Ja nie mam ochoty.

- Rozumiem - odrzekł Saul.

- Wadimie - nakazał Anton - spakuj żywność. Wszystkie zapasy., jakie tylko mamy. Panie Saulu, podobno umie pan szyć. Trzeba dopasować ubrania. A ja przygotuję lekarstwa.

Kombinezony miały dość uniwersalne rozmiary, lecz różnica wzrostu między Saulem i Anionem zbyt rzucała się w oczy. Kombinezon dla Antona trzeba było skracać, a dla Saula - rozciągać. I od razu wyszło na jaw, że szyć Saul nie potrafi. Zmieszany obracał w palcach ultradźwiękową nasadkę, miętosił i wyglądał kombinezony i z konsternacją spoglądał na Antona. Widocznie historycy, siedząc w swoich przytulnych gabinetach, nie mieli zielonego pojęcia o takich prostych rzeczach. Prawdopodobnie interesowało ich głównie, jak robiono to dawniej. Wadim musiał w końcu odebrać Saulowi nasadkę i pokazać, jak się to robi teraz. Ku jego zdziwieniu Saul okazał się pojętym uczniem i już po paru minutach każdy z nich zajmował się swoją robotą.

Saul odezwał się nie podnosząc głowy.

- Dlaczego pan myśli, kapitanie, że pozostał jeszcze ktoś przy życiu?

- Nie myślę - odpowiedział Anton. - Mam nadzieję.

Wadim skończył pakowanie worka, zawiązał go i usiadł przy stole.

- A tamci czterej także byli młodzi? - zapytał.

- Tak - odrzekł Saul. - Niemal dzieci. Znacznie młodszy od was.

- Pięć lat temu - zaczął opowiadać Wadim - chcieliśmy z chłopakami porwać gwiazdolit i polecieć na Tagorę. Przeszkodziło nam, naturalnie. A może tym się udało?

- Nie rozumiem - powiedział Anton. - Gwiazdolit może otrzymać jedynie pilot z określonym

stażem. A jaki oni mogli mieć staż?... Dzieciaki! W ogóle nic nie rozumiem. Złocene paznokcie. Jakieś dziwaczne koszule na gołe ciało... i najważniejsze, jak oni się tutaj dostali?

- Bardzo łatwo - opowiadał Wadim. - Ktoś szykował się do drogi, zostawił gwiazdolit pod domem, a oni nocą weszli na pokład i wystartowali. Zabawiali się w Rumatę-poszukiwacza. A tutaj wyleźli i zabłądzili. Chwylił mróz. I tyle.

- To, co mówisz - chłodno zareagował Anton - jest zupełnie niemożliwe. Gdyby nawet wszystko odbyło się tak, jak to przedstawiłeś, na pewno bym o tym coś wiedział. Zginęli kilka dni temu. Na Ziemi ogłoszono by globalne poszukiwania.

- A jeśli są tutaj z kimś starszym?

Anton zamilkł na chwilę.

- To poszukajmy tego starszego - odezwał się wreszcie.

- Nie zgadza mi się tylko jedno - powiedział Wadim. - Te niesamowite koszule...

- To nie są koszule - oświadczył Saul niespodzianie.

Chłopcy zwrócili się ku niemu.

- To worki. Z otworami na głowę i ręce. Grube, jutowe worki. Teraz takich już nie ma - uśmiechnął się smutno. - Rozumie pan, panie Wadimie, chłopcom byłoby łatwiej zdobyć skorczera lub batysferę niż jeden taki worek. To było bardzo, bardzo dawno temu. I mnie bardzo się nie podoba, że są nadzy, a zamiast odzieży mają worki.

Wadim poczuł, że zamiera mu serce. Wszystko wydało mu się dziwne i przerażające - jutowe worki, które wytwarzano bardzo, bardzo dawno temu. Było to odczucie nie tyle czegoś niebezpiecznego, co właśnie przerażającego. Jak gdyby na twoich oczach człowiek raptem zaczął się starzeć, starzeć, starzeć i przekształcił się w zgrzybiałego, pomarszczonego staruszka. Wzdrygnął się i odczucie zniknęło. Saul rozłożył kombinezon, uniósł go w powietrze i obejrzał.

- I dlatego nie zgadzam się z wami - kontynuował. - Myślę, że to tubylcy... I... nie wiem, czy mnie zrozumiecie... W czasach jutowych worków działy się dziwne rzeczy. Mam wrażenie, że tych młodzieńców obdarto do naga. I porzucono tutaj, na pustkowiu. Niech pan przymierzy, panie Antonie.

Anton wziął kombinezon.

- To znaczy, że według pana na Sauli istnieje cywilizacja? - z niedowierzaniem upewnił się. - I panują tu czasy jutowych worków?

- Skąd mam wiedzieć, kapitanie? Mówię tylko o tym, co widzę. Widzę jutowe worki, wiem, że jutowych worków na Ziemi w naszych czasach nie ma. A więc to nie są Ziemianie. Może są ofiarami rabunku. Albo pielgrzymami. Fanatykami. Może szli oddać pokłon świętym relikwiom, szli, zgodnie ze swoim ślubowaniem, odziani w wory pokutne, zgubili drogę, zaskoczyła ich zamieć... Nie wiem.

Owe przypuszczenia z trudem docierały do Wadima. Słowa "pielgrzym", "relikwie", "ślubowanie" były mu właściwie znane, wiązały się jakoś z obrzędowością religijną, lecz nie miały dla niego żadnej realnej treści. Przelotnie pomyślał z szacunkiem, że Saul, jak widać, jest prawdziwym specjalistą. Ale nie to go oszołomiło.

- Za pozwoleniem - powiedział. - A więc cywilizacja? Wybraliśmy się na spacer i mimochodem odkryliśmy cywilizację! Nie wierzę - oświadczył.

- Mimochodem - rzekł Anton w zadumie. - Czy rzeczywiście mimochodem? EN 7031 figuruje przecież w planie badań...

- Rzeczywiście, mówiłeś o tym. Ale ekspedycja nie doszła do skutku.

- To prawda. A tymczasem EN 7031 znajduje się w rejestrze gwiazd leżących na hipotetycznym szlaku Wędrowców.

- Nigdy o nim nie słyszałem - odpowiedział Wadim.

- Taki rejestr istnieje. Rejestr Gorbowskiego-Badera. Tak więc szansę znalezienia cywilizacji były, Wadimie. I może Saul ma rację mówiąc, że to tutejsi chłopcy. A jaki mają związek z Wędrowcami, to już całkiem inna sprawa...

Wadim siedział oparty łokciami o stół, objawszy głowę rękami. Też mi cywilizacja! Dobrze, myślał, niech sobie nawet będą ofiarami grabieżców. Ale to przecież bzdura: zdrowi, szesnastoletni chłopcy dali się rozebrać bez najmniejszego oporu i pokornie zamarzli. Przecież nie mogą być fanatykami! Wyobraził sobie fanatyka: wycieńzonego, łysiego starucha z błędnymi oczami, z olbrzymim zardzewiałym łańcuchem przewieszonym przez ramię. Nie, pomyślał. Jacy z nich mogą być fanatycy? A może to Wędrowcy we własnych osobach? Tak. W jutowych workach. Przypomniał sobie cyklopowe budowle pozostawione przez Wędrowców na Władysławie i ogarnął go smutek. Taki smutek ogarniał go za każdym razem, kiedy zabierał się do zadania przekraczającego jego siły.

- Antonie - zapytał. - Jak tam glider?

Anton spojrział na zegarek.

- Już czas - rzekł. - Chodźmy. Ubierajcie się i weźcie po worku.

- Pan będzie jednak łaskaw dokładniej określić - powiedział Saul - czego będziemy szukali.

Wadim miał wrażenie, że Anton się waha.

- Będziemy szukali uszkodzonych.

Saul zapiął kombinezon.

- A jeśli, na szczęście, nie ma tu więcej uszkodzonych? Mam na myśli wariant z grabieżcami.

- Przy tym wariacie poszedłbym na całego - mruknął Wadim.

- Przy każdym innym wariacie - dobitnie powiedział Anton - proszę nie robić najmniejszego ruchu bez mego rozkazu.

Podszedł do drzwi.

- Nie bierze pan broni? - spytał Saul.

- Nam nie będzie potrzebna broń - odparł Anton.

- Starczy tu trupów - dodał Wadim.

Wyszli z "Okreću" i od razu zapadli się w głęboki śnieg. Glider ledwie majaczył za białą zasłoną. Był to szybowiec antygrawitacyjny typu konik polny, niezawodna sześciuosobowa maszyna, bardzo popularna wśród desantowców i tropicielei. Stał na skraju ogromnej wytopionej jamy, z której biła w górę gęsta para. Jego gładkie burty były jeszcze ciepłe, a wewnątrz kabiny nawet gorące.

Zrzucili worki do bagażnika i wskoczyli do maszyny pod gładką przezroczystą kopułę.

- Ach, do stu diabłów - powiedział Anton niespodzianie. - Dimka, wybacz proszę, przecież tobie do tłumaczenia z pewnością przyda się analizator.

- Do jakiego tłumaczenia? - spytał Saul.

Wadim potarł podbródek.

- Analizator analizatorem - powiedział powoli - ale bez mnemokryształów na początek w żaden sposób nie można się obejść. Ktoś będzie musiał skoczyć na "Okręt".

- Ech - jęknął Anton i wygramolił się z glidera. - A ile ich potrzebujesz?

- Wystarczy mi jedna para. Tylko weź z przyssawkami, żeby nie trzymać w rękach.

Anton pobiegł po śniegu ku "Okrętowi".

- O czym mówiliście? - poinformował się Saul.

- Trzeba będzie jakoś porozumiewać się z ludźmi, jeśli ich odnajdziemy - wyjaśnił Wadim.

Włączył silnik, łagodnie uniósł pojazd w górę i opuścił z powrotem na ziemię.

- I pan o tym tak - Saul poruszył palcami - łatwo mówi?

Wadim popatrzył nań ze zdziwieniem.

- A jak powinienem mówić?

- No tak, naturalnie - powiedział Saul.

A to dziwak z niego, pomyślał Wadim. Czyżby rzeczywiście całe życie przesiedział w swoim gabinecie słuchając Mendelssohna?

- Panie Saulu - zaczął. - Po pracach Sugimoto kontaktowanie się z humanoidami - to zadanie czysto techniczne. Czyżby pan nie pamiętał, jak Sugimoto dogadał się z Tagorianami? To było przecież wielkie zwycięstwo, wiele o tym pisano i mówiono...

- A jakże - z entuzjazmem krzyknął Saul. - Jak mogłem o czymś takim zapomnieć! Ale ja myślałem, sam nie wiem dlaczego, że... eee... do tego jest zdolny jedynie Sugimoto.

- Nie - powiedział Wadim lekceważąco. - Może tego dokonać jakikolwiek lingwista strukturalny.

Wrócił Anton, podał Wadimowi pudełko z kryształami i przedostał się na swoje miejsce.

- Naprzód - powiedział. Popatrzył na Saula. - Co się tu u was stało?

- A o co chodzi?

- Wydalo mi się... No, ale to nieważne. Naprzód.

- Słuchaj - powiedział Wadim, patrząc na ledwie widoczny śnieżny pagórek przy "Okręcie". - Nieładnie ich tak zostawiać. Może ich najpierw pochowamy?

- Nie ma mowy - odrzekł Anton. - Uczciwie mówiąc, nawet do tego nie mamy prawa.

Wadim zrozumiał. To nie są nasi umarli i nie nam ich grzebać wedle naszych praw. Ujął stery i włączył silnik. Glider płynnie wzbił się nad zaspami i pomknął w białą mgłę.

Wadim siedział jak zwykle zgarbiwszy się nieco i tylko lekko poruszał sterem, sprawdzając stabilność. W przednie szyby walił śnieg. Dostrzegał jedynie białą gwiazdę o tysiącu promieni, której środek powoli płynął przed jego oczami. Włączył lokatory.

- Co to za ekrany? - zapytał z tyłu Saul.

Wadim wyjaśnił:

- Po pierwsze - nic nie widzę, a po drugie - mogło ich zasypać śniegiem.

- Dziękuję - odpowiedział Saul. - Zrozumiałem.

Glider wyskoczył z zamieci. Mknął nad zaśnieżoną pagórkowatą równiną. Wadim stopniowo

zwiększał prędkość i silnik ryczał głębokim basem, a pod dnem maszyny wściekle migąły kuliste wierzchołki pagórków. Niebo było zupełnie białe, niewysoko nad horyzontem z prawej strony świeciła oślepiająca plama - EN 7031, a na północy ukazały się wyraźne zarysy skalistych gór. Oślepiająca plama powoli przesuwała się w prawo i do tyłu: glider zataczał dziesięciokilometrowy łuk wokół "Okreću". A przed nimi, i z prawej strony, i z lewej przesuwały się tylko pagórki, pagórki, pagórki. Nagle Anton powiedział:

- Patrzcie, stado!

Wadim przyhamował i zawrócił. Glider zawisł nieruchomo. W kotlinie między wzgórzami szybko przemieszczało się stado jakichś zwierząt. Były to niewielkie czworonogi podobne do bezrogich jeleni; opadając z sił, skakały i zapadały się w śnieg odrzucając przy tym do tyłu długie czarnonose łby. Ich cienkie nogi grzęzły w zaspach, więc padały, szamotały się wzbijając w niebo chmury śnieżnego pyłu i znów zrywały się, i znowu biegly wyginając się przy każdym skoku. Bruzda zrytego kopytami śniegu ciągnęła się za nimi. A bruzdą, nisko przycinając do ziemi długie, wyciągnięte szyje, mknęły na gołych, szczudłowatych nogach olbrzymie, podobne do strusi ptaki. Tylko dzioby miały inne - potężne, garbate, z zagiętym do dołu strasznym ostrzem.

Wadim spikował i poleciał wzdłuż kotliny. Stado przebiegło pod gliderem, nawet go nie zauważając, ptaki zaś - a było ich trzy - zatrzymały się wszystkie razem, przysiadły na zgiętych łapach, zadarły głowy i przerażająco rozdziawiły dzioby. Jakie świetne polowanie, pomyślał Wadim, jakie polowanie można by urządzić! Znowu zwiększył wysokość i przestawił glider na lot skokowy. Całkiem blisko, omal nie drapiąc spektrolitu kopuły glidera, potworne dzioby szczęknęły i zaraz znikły. Teraz glider pędził dwukilometrowymi susami, wzlatając pod niskie niebo, i za każdym razem równina w dole pod nimi jakby rozwierała się na oścież i widać było, że na dziesiątki kilometrów wokół rozciąga się bezkresna, śnieżna pustynia.

- Kiepska sprawa - wymamrotał Saul.

- Dlaczego?

- Ptaki...

Ale cywilizacja, pomyślał Wadim. Nie mogli zorganizować poszukiwań. Pozwolili odejść chłopcom na golasa, bez broni. Tutaj pewnie nawet kroku nie można zrobić bez broni. A przecież na pewno byli to odważni chłopcy, śmiali.

Glider zamknął dziesięciokilometrowe okrążenie i rozpoczął drugie - o promieniu dwudziestu kilometrów. I w tym momencie Anton powiedział:

- Oto skąd się wzięli... Trzydzieści stopni na prawo od kursu!

Na skraju równiny, pod szarobłękitnym masywem górskiego łańcucha widniały jakieś niewyraźne plamy o regularnych kształtach.

- Wygląda mi to na wielkie osiedle - powiedział Saul. - Macie lornetkę?

Spektrolit kopuły rozpraszał mgłę i Wadim, pochyliwszy się do okularu, rozróżnił zarysy budynków, zębatych murów i kopuł.

- Miasto - powiedział. - Co robimy?

- Miasto? - spytał Saul. - Ciekawe. A ile stąd do niego?

- Z piętnaście kilometrów.

- Tak. To znaczy, że do "Okreću" jest z miasta około trzydziestu... Przy pewnej wytrzymałości można przejść nawet na bosaka.

Wadim wzdrygnął się.

- Nigdy w życiu nie próbowałbym - mruknął.

Glider, nieco podrygując w nagłych podmuchach wiatru, wisiał dwadzieścia metrów nad ziemią. Jak głupio tu jest wszystko urządzone! oburzał się Wadim. Gdzie grupy poszukiwawcze? Gdzie glidery i helikoptery z ochotnikami? Ludzie pozamarzali na śmierć nie opodal miasta, a tutaj na kilkadziesiąt kilometrów wokół ani żywego ducha oprócz tych ptaszków. A ptaszęta akurat nie mają tu absolutnie nic do roboty. Trzeba było wypełnić paskudztwo jeszcze sto lat temu, a nie zakładać pod bokiem rezerwatu drapieżników. I po co zwleka Anton? Dlaczego nie mielibyśmy zjawić się w mieście i sprowadzić jego mieszkańców na drogę cnoty? Słowo honoru, formalności pierwszego kontaktu można w takiej sytuacji zlekceważyć. Popatrzył na Antona.

Anton wyraźnie zwlekał. Siedział wyprostowany, zmrużywszy mocno oczy, zacisnąwszy wargi. Taką twarz miał zawsze wtedy, gdy rozwiązywał w pamięci jakieś zadania nawigacyjne.

- No więc, kapitanie - spytał Wadim.

Twarz Antona przybrała zwykły wyraz.

- Uczciwie mówiąc - stwierdził - należy natychmiast wrócić na "Okreću". Ale... Naprzód. Zatrzymasz się na przedmieściu. Leć wyżej.

Glider trzema susami pokonał odległość dzielącą ich od miasta i już pod koniec drugiego skoku Wadim zrozumiał, że to nie miasto. W każdym razie pojął, dlaczego nikt tu nie troszczy się o los zaginionych chłopców.

- Tutaj nastąpił przerażający wybuch - odezwał się cicho Saul.

Glider zawisł nad skrajem olbrzymiego leja podobnego do gardzieli czynnego wulkanu. Lej o szerokości pół kilometra wypełniał po brzegi ciężki, kłębiący się dym. Miał kolor szaroniebieski, leniwie słał się warstwami, falował i był prawdopodobnie o wiele cięższy od powietrza, gdyż najmniejsza nawet strużka nie ulatywała ponad lej. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że to nie dym, a ciecz. Do brzegu leja przylgnęły przysypane śniegiem gruzy. Z zasp sterczały poszarpane resztki różnobarwnych ścian, poprzekrzywiane wieże, poskręcane metalowe konstrukcje, rozbite kopuły.

Wadim oszołomiony patrzył w dół. Saul mamrotał niezrozumiale:

- No, to my akurat dobrze znamy... Bombardowanie... Wyleciały w powietrze magazyny... I to całkiem niedawno - dym jeszcze się nie rozwiął, coś tam się pali...

Wadim pokręcił głową:

- W takim mieście żyć niepodobna. Ludzie porozbiegali się, gdzie kto mógł, to naturalne. Aż dziw bierze, że znaleźliśmy tylko pięciu.

- Pozostali są tam - rzekł Saul, patrząc w głąb leja.

- To nie cywilizacja, tylko jakiś skandal - zrzędził Wadim. - Cóż za nikczemna lekkomyślność!!

Któż przeprowadza takie eksperymenty w mieście? Trzeba być ostatnim...

Anton przerwał cichym głosem:

- A tam jadą maszyny...

Od północy w kierunku leja podchodziła wąska, ledwie dostrzegalna z daleka wstążka drogi. Gęsto i bez pośpiechu sunęły nią ciemne punkty. Aha, pomyślał Wadim, to znaczy, że jeszcze nie wszystko stracone. Skierował glider w ich stronę, przeleciał nad lejem i wtedy ujrzeli wspaniałą szosę prowadzącą prosto w dym, a na szosie nie kończąca się kolumnę maszyn. Maszyny zajmowały całą szerokość jezdni. W zwartym szyku szły z północy, wyłącznie z północy płaskie, zielone maszyny podobne do pasażerskich atomokarów, tylko bez przedniej szyby; malutkie biało-niebieskie maszyny ciągnące za sobą długi ogon pustych, odkrytych przyczep; pomarańczowe maszyny przypominające polowe syntetyzatory; olbrzymie czarne wieże na gąsienicach i malutkie maszyny z szerokimi, rozłożonymi "błotnikami" - wszystkie one niepowstrzymane, rząd w rząd, w idealnym porządku toczyły się po szosie, z wyraźną precyzją zachowując określone odstępstwa i odległości, i rząd po rządzie znikwały w szaroniebieskim dymie leja.

- To tylko automaty - zauważył Wadim.

- Tak - odrzekł Anton.

- To znaczy, że ktoś je posyła, najprawdopodobniej do prac związanych z odbudową. A ludzi znajdziemy na drugim końcu szosy... - Wadim zająknął się. - Proszę mnie posłuchać, panie Saulu - powiedział. - A czy były takie maszyny w epoce jutowych worków?

Saul nie odpowiadał. Jak urzeczony patrzył w dół, a na jego twarzy malowały się zachwyt i uwielbienie. Podniósł na Wadima wytrzeszczone oczy. Jego kosmate brwi stanęły dęba.

- Cóż to za technika! - przemówił wreszcie. - Cóż za dostojna procesja! Cóż za rozmach! Idą bez końca!

Wadim zdziwił się i również popatrzył w dół.

- Co takiego? - spytał. - Jaki rozmach? Aha, tak, rozmach absurdalny. Do odbudowy miasta wystarczyłoby z tuzin automatów.

Znowu popatrzył na Saula. Ten szybko zamrugał powiekami.

- A mnie się podoba - odrzekł. - To przecież bardzo piękne. Czyż pan nie widzi, że to jest piękne?

- Wadimie, wał wzdłuż szosy - rozkazał Anton. - Jak badać, to badać.

Wadim ruszył. Potok maszyn na dole zlał się w pstrokatą wstęgę.

- O, teraz rzeczywiście jest ładnie - powiedział Wadim. - Ale nie otrzymałem odpowiedzi na moje pytanie, panie Saulu. Czy można pogodzić ze sobą jutowe worki i taki sprzęt?

- A dlaczegoż by nie? Ze zrujnowanych miast ludzie uciekali nieraz z gołymi rękami. Co pana tak zaabsorbowały jutowe worki?! Worki z juty istniały wiele wieków. Tania, wygodna rzecz. Do noszenia drewna chociażby.

- Jakiego drewna?

- Normalnego. Do ogrzewania łaźni.

Wadim przypomniał sobie łaźnienną blachę i zamilkł patrząc przed siebie. Nie widać było ani końca szosy, ani końca kolumny maszyn. Nieskazitelna śnieżna równina po obu stronach traktu ciągnęła się aż po horyzont. Wadim dodał gazu. Co za bezsens, rozmyślał. Odchodzą w dym i znikają jak w przepaści. Oceniał z grubsza wymiary leja i ilość spadających weń maszyn. Absurdalna liczba. Zresztą nie jestem inżynierem. Przeciętny humanoid z Tagory - oni tam wszyscy są inżynierami - doszedłby do wniosku, że szosą

transportuje się części średnich rozmiarów maszyny, którą montuje się pod ziemią. Natomiast prosty bukoliczny Leonidanin byłby przekonany, że ma do czynienia ze stadami zwierząt przepędzanych z pastwiska do rzeźni.

- Antonie - zawołał. - Czy wyobrażasz sobie Leonidan na naszym miejscu?

Anton odpowiedział:

- Głupi Leonidanin pomyślałby, że wszystko jest jasne. A mądry powiedziałby, że ma za mało informacji.

Tak, rzeczywiście brakuje informacji. Wszystkie maszyny idą na południe i żadna nie wraca. Jeśli rzeczywiście są przeznaczone do odbudowy miasta, to chyba odbudowują je z siebie samych. A właściwie dlaczego mer

- Wie pan - powiedział nagle Saul - ogarnia mnie wręcz jakiś dziwny strach. Ile my już przelecieliśmy? Ze czterdzieści kilometrów, prawda? A one jadą i jadą.

- Lepiej by zrobili, wykorzystując ten sprzęt do poszukiwań zaginionych ludzi - zastanawiał się Wadim.

- O, tu nie ma pan racji - zaproponował Saul. - W takim zamieszaniu trudno myśleć o poszczególnych ludziach.

- Jak to - a o kim myśleć, jeśli nie o ludziach? A dla kogo odbudowują miasto? Tamtym chłopcom miasto już nie jest potrzebne...

Saul lekceważąco machnął ręką.

- Podczas wybuchu zginęło na pewno z dziesięć tysięcy takich chłopaków. Oczywiście, szkoda, ale kto by teraz zaprzętał sobie nimi głowę?

Wadim wpadł we wściekłość. Glider dał susa w bok.

- Proszę się nie gniewać, panie Saulu, ale pański przytulny gabinet i zajmowanie się historią dziwnie na pana wpłynęły. Rozumuje pan jak nie wiem kto. Jeszcze pan gotów powiedzieć, iż cel uświęca środki.

- A co w tym zdrożnego? - spytał Saul z zimną krwią. - Zdarza się, że i uświęca.

Wadim zdołał się pohamować. Gabinetowy relikw, pomyślał. Ale wystarczy go tylko zostawić bez portek w śniegu i będzie śmiertelnie obrażony, że cały sprzęt planety nie spieszy mu z pomocą. Wtem dostrzegł polną drogę i gwałtownie zahamował.

Polna droga odchodziła od szosy na wschód, wijąc się między wzgórkami.

- To pierwsza droga w bok - zakomunikował Wadim. - Skręcamy?

- Nie warto - powiedział Saul. - Co tam może być ciekawego?

Anton wahał się. Dlaczego on się ciągle waha? z rozdrażnieniem pomyślał Wadim. To do niego niepodobne.

- No więc jak? - zapytał. - Jestem za tym, żeby nadal trzymać się szosy.

- Ja też - dodał Saul. - Wrócić zawsze zdążymy. Chyba mam rację, panie Wadimie?

- Dobrze, leć prosto - niezdecydowanym głosem powiedział Anton. - Leć prosto. Chociaż... uwzględniając... Dobrze, niech będzie prosto.

Wadim znowu poprowadził glider wzdłuż szosy.

- Co się dziś z tobą dzieje, Toszka? - spytał z niepokoje. - Wahasz się jak witeż na rozstajnych

drogach: pójdziesz na prawo - stracisz glider, pójdziesz na lewo - stracisz głowę...

- Patrz przed siebie - odparł Anton spokojnie.

Wadim wzruszył ramionami i zaczął demonstracyjnie patrzeć przed siebie. Po pięciu minutach ujrzał szarą plamę.

- Znowu jama z dymem - rzucił od niechcienia.

Był to dokładnie taki sam lej. Jego krawędzie przyprószył śnieg, w jego wnętrzu kotłował się taki sam szaroniebieski dym, a z dymu nieprzerwanym potokiem wyjeżdżały maszyny.

- Spodziewałem się zobaczyć coś w tym rodzaju - oświadczył Anton.

- Ale przecież tu nie ma ludzi - z zakłopotaniem zauważył Wadim. - Znowu niczego się nie dowiemy.

Przyszła mu nagle do głowy dziwna myśl. Spojrzał na kompas i pochylił się nad okulem. Ruin na skraju leja nie było. To był inny lej.

- Wstrząsające - odezwał się Saul. - Wychodzą z dymu i znikają w dymie.

- Zawróćmy - zniecierpliwiał się Wadim i skierował wzrok na Antona. Na twarzy Antona malowało się to samo obrzydliwe niezdecydowanie.

- Przepraszam - odezwał się Saul. - Ale jak można przejść obojętnie obok takiego dziwnego zjawiska...

- A cóż w tym dziwnego! - krzyknął Wadim. - Co się pan tak bez przerwy zachwyca? Jakiś nieporadny inżynier przerzuca maszyny przez Podprzestrzeń... Też sobie wybrał miejsce dla transportu zerowego! Rozwalił miasto, dureń bez polotu... No co ty tak ciągle rozmyślasz, Antonie?

- Jakoś głośno się u nas zrobiło - powiedział Anton, patrząc w bok.

- A to źle? Ty co - interesujesz się miejscowymi procesami produkcyjnymi?

- Ależ nie... - bąknął ospale Anton. - Co mnie one mogą obchodzić?

Wadim okręcił się razem z fotelem, oparł ręce na kolanach i zaczął przypatrywać się badawczo raz Antonowi, raz Saulowi. Anton sprawiał wrażenie, jakby właśnie zasypiał. Nawet ręce złożył na brzuchu i splótł palce. A Saul patrzył na Wadima z miną wyrażającą zdumiony zachwyt i rozrzewnienie. Usta miał rozchylone.

- O co chodzi? - spytał Wadim. - Czegoście się obaj nawąchali?

Saul wzdrygnął się.

- Tak, oczywiście! - krzyknął. - Jak ja mogłem nie wpaść na to od razu! Wszystko jasne: są dwie dziury w odległości osiemdziesięciu kilometrów. Z jednej dziury wychodzą maszyny, przejeżdżają po świetnej autostradzie i bez jakiegokolwiek widocznego efektu znikają w drugiej dziurze. Z drugiej dziury podziemnym korytarzem wracają znów do pierwszej...

Wadim westchnął ciężko.

- One nie wracają do pierwszej - powiedział. - To jest transport zerowy, rozumie pan? (Po każdym słowie Saul gorliwie kiwał głową). Elementarny transport zerowy. Ktoś wykorzystuje to miejsce, aby najkrótszą drogą przerzucać sprzęt na olbrzymie odległości. Może na tysiąc kilometrów. Może na tysiące parseków. Czyżby pan tego nie rozumiał?

- Ależ skąd, rozumiem, wszystko jasne! - krzyknął Saul. Wyglądał na trochę oszołomionego. - Co w

tym może być niezrozumiałego? Typowy transport zerowy...

- No tak - powiedział Wadim. - I nic nam do tego. Ludzi trzeba szukać!

- Dobra - powiedział Anton. - Będziemy szukać ludzi. Zawróć na pełną drogę.

Wadim zawrócił glider i z dużą prędkością poprowadził go wzdłuż szosy z powrotem.

- Antonie, co się z tobą dzieje, może źle się czujesz? - zapytał po chwili milczenia.

- Czuję się nieszczególnie - przyznał Anton. - Nie zapomnij tego potwierdzić, jak cię później zapytają...

- Kto mnie zapyta?

- Zapytają - powiedział Anton. - Znajdą się tacy... ciekawi...

Wadim nie próbował dalej pytać. Popatrzył na maszyny w dole, a następnie spojrzął na szybkościomierz.

- Prymitywne automaty - wymamrotał. - Stała prędkość, stałe odstępstwa... Wartało z ich powodu zakrzywiać przestrzeń...

Ukazała się polna droga.

- Jak lecieć? - spytał Wadim. - Nad drogą, czy po prostej?

- Nad drogą - odparł Anton. - I zejść niżej.

Wadim z zadowoleniem obniżył glider niemal do samej ziemi i pomknął tuż nad drogą - bardzo lubił szybką jazdę z ostrymi zakrętami. Z boku, skacząc po nierównościach, mknął po śniegu okrągły cień glidera.

- Znowu ptaki - zauważył gniewnie Saul.

Przed nimi przy samej drodze dreptało kilka znajomych długonogich straszycieli. Rozgrzebywały szponiastymi łapami zaspę i szperały w spulchnionym śniegu. Kiedy glider przybliżył się, podkurczyły łapy, odrzuciły do tyłu szyję i rozdziawiły czarne dzioby. Ż dziobów zwisały jakieś strzępy

- Cóż za obrzydliwe stworzenia - powiedział ze wstrętem Saul i popatrzył do tyłu. - Co one tam rozgrzebują?

Wadim nagle zrozumiał, ale to było tak straszne, że nie chciał uwierzyć.

- Pan nie widział tachorgów, panie Saulu. - Zaśmiał się sztucznie. - W porównaniu z tachorgami są jak żółtodziobe kurczątka. Może by tak ustrzelić z jednego, co, Antonie?

- Można - odrzekł Anton.

Saul usiadł wyprostowany.

- Mnie się nie podoba, że one tam coś rozgrzebują - powiedział posępnie.

Nikt nie odpowiedział. Lecieli w milczeniu jeszcze z dziesięć minut. Śnieg na polnej drodze miał kolor gnoju. Widniały na nim ślady ni to gąsienic, ni to kół, a po prawej i po lewej stronie na dziewiczej śnieżnej pokrywie ciągnęły się tu i ówdzie łańcuszki ludzkich śladów. Okrągłe wzgórza po obu stronach drogi były puste. Gdzieś tam z zasp sterczały wątle witki i czarne krzywe korzenie podobne do poskręcanych rąk.

- Jeszcze jeden - zauważył Saul.

Na szczycie pagórka stał ptak. Gdy tylko dostrzegł glider, natychmiast rzucił się w ich kierunku. Pędził wysoko zadzierając nogi, rozczapierzając małe skrzydełka, wyciągając zylastą szyję, z dziobem nisko spuszczone. Małeńkie, płonące ślepie patrzyło wprost na glider.

- Nie zdąży! - z żalem powiedział Wadim.

Ale ptak zdążył. "Te-ek!" - stęknął z zadowoleniem Wadim. Glider zatrzęsł się. W powietrzu mignęła rozczapierzona, szponiasta łapa. Anton i Saul zaraz się odwrócili.

- Jeszcze się toczy! - poinformował Saul. - Wyjątkowo wstrętne stworzenie... Uch, ty! - krzyknął z podziwem.

Wadim od razu włączył tylny ekran. Nastroszony ptak podniósł się już na nogi i kulejąc biegł w ślad za gliderem. Wyglądał na rozjuszonego. Wkrótce pozostał w tyle i znikł za zakretem.

- Jeśli napotkamy ludzi - powiedział Wadim - zaofiaruję się wytepić to paskudztwo na całej równinie. Skoro sami mają za krótkie ręce... Jak sądzisz, Toszka?

- Zobaczymy - odparł Anton.

Rozdział 4

Pagórki stały się niższe i nagle wyrósł przed nimi wysoki, śnieżny wał. Anton od razu zauważył drobne, czarne figurki, które roily się na jego grzbiecie. No, zaczyna się, pomyślał i powiedział:

- Stań.

- Po co? - zaprotestował Wadim. - Ty co, nie widzisz? Tam są ludzie!

- Stań, jak ci mówię!

- Masz ci los! - powiedział Wadim z niezadowolaniem, ale posłuchał.

Zaraz odwróci głowę i popatrzy na mnie z dezaprobatą, pomyślał Anton. Jakże mi ciężko...

Było mu ciężko. Szansa zetknięcia się z nieznaną cywilizacją była niezwykle mała, lecz istniała, i każdy nawigator znał instrukcję KOMKON-u, zabraniającą samowolnych kontaktów z nieznanymi cywilizacjami. Teraz głupio wycofać się, pomyślał. Należało opuścić Saulę, jak tylko zobaczyliśmy trupy. Należało... Tylko że nikt by tego nie zrobił. Ale przecież istnieje instrukcja. I sporządzono ją akurat na taki oto wypadek - kiedy wśród załogi jeden aż płonie żądzą działania, a drugi - po prostu nie wiadomo, czego chce. A ciebie samego rozdierają sprzeczności. Przecież prawie na pewno gdzieś w pobliżu tysiące ludzi potrzebują pomocy. Tysiące tych właśnie malutkich ludzików włączających się bezsensownie po grzbiecie wału... A Dimka patrzy z dezaprobatą... I Saul spogląda z zupełnie niestosownym zaciekawieniem. Historyk ze skorcererem. A propos, żeby nie zapomnieć o skorcererze... I instrukcja, bardzo rozsądna i prosta instrukcja: "żadnych samowolnych kontaktów z tubylcami..." Bardzo proste: wyszedłeś, rozejrzałeś się, zauważyłeś oznaki żywej cywilizacji i... "konieczne jest bezzwłoczne opuszczenie planety po dokładnym usunięciu wszystkich śladów swego pobytu". A tam została olbrzymia jama po gliderze, a obok niej - pięć trupów...

- No, o co chodzi? - spytał Wadim. - Atak melancholii?

Naturalnie, lingwiści strukturalni i historycy nie mają zielonego pojęcia o instrukcji. Wyjaśnij im, a z pewnością przyjmą twoje słowa jako osobistą zniewagę: Nie jesteśmy dziećmi! Sami wiemy, co jest dobre, a co złe!

Wtem Anton stwierdził, że glider powoli sunie w kierunku wału. I podjął decyzję.

- Leć na grzbiet wału - zakomenderował. - Ładuj z dala od ludzi. I jeszcze jedno, przyjaciele. Bardzo was proszę. Nie urządźcie mi tam żadnych scen powitalnych.

- Nie jesteśmy dziećmi - z godnością powiedział Wadim zwiększając prędkość.

Glider skoczył jednym susem na grzbiet wału. Wadim odrzucił kopułę, wychylił się i gwizdnął ze zdziwienia. W dole za wałem rozpościerał się gigantyczny wykop i było tam pełno ludzi i maszyn. Ale Anton nie patrzył w dół.

Z przerażeniem i litością patrzył na zgarbionego, sinego z zimna człowieka w porwanym, jutowym worku, który powoli, z trudem przestawiając nogi, zmierzał prosto na glider. Miał krostowatą twarz, skóra na gołych rękach i nogach była popękana, pozlepiana, brudne włosy sterczały na wszystkie strony. Człowiek prześlizgnął się obojętnym wzrokiem po gliderze i ominawszy go poszedł dalej grzbietem wału. Przy każdym potknięciu odruchowo żałośnie pojękiwał. To nie jest człowiek, pomyślał Anton, to tylko coś

przypominającego człowieka...

- Wielki Boże! - rozległ się zachrypnięty okrzyk Saula. - Co się tam dzieje?!

Wtedy Anton spojrział w dół. Na dnie wykopu, pokrytym brudnym, udeptanym śniegiem, wśród kilkudziesięciu różnorodnych maszyn krzżeli się, siedzieli i nawet leżeli, snuli się i przebiegali ludzie, bosi ludzie w długich, szarych koszulach. Dookoła na granicy nietkniętego śniegu ludzie stali w nierównych, łamiących się szeregach. Było ich wielu - setki, a może tysiące. Stali, ponuro patrząc w ziemię. Gdzieś w szeregach widać było leżących, lecz nikt nie zwracał na nich uwagi.

Maszyn było w wykopie kilkadziesiąt. Niektóre z nich zaryły się w ziemię, inne przysypał śnieg, ale Anton od razu zauważył, że są to takie same maszyny jak te, które sunęły po szosie. Kilka maszyn drgało konwulsyjnie, rozbryzgując bryły błota i śniegu, bez żadnego porządku, bez żadnego celu.

Nagle Anton zorientował się, że w wykopie panuje nienaturalna cisza. Znajdowały się tam tysiące ludzi, a słychać było jedynie przygłuszony warkot mechanizmów i tylko czasami rozlegały się przejmujące, żalosne okrzyki.

I kaszel. Od czasu do czasu ktoś gdzieś ochryple zanosił się ostrym kaszlem, dusząc się i niemal rżąc, aż drapało w gardle. Kaszel niezwłocznie podchwytywały dziesiątki gardeł i po kilku sekundach cały wykop napelniał się trzaskającymi, suchymi dźwiękami. Na pewien czas ruch ludzi zamierał, potem znowu rozlegały się żalosne okrzyki, ostre jak wystrzały trzaski i kaszel ustawał...

Anton miał dwadzieścia sześć lat, od dawna był kosmonautą i niejedno widział. Zdarzało się, że ludzie zostawali kalekami, że tracili przyjaciół, wiarę w siebie, że umierali, i on również tracił przyjaciół i umierał sam na sam z obojętną ciszą, ale tutaj... Tutaj była tylko czarna zgryzota, smutek i całkowita beznadzieja, czuło się zubożniała rozpacz, kiedy nikt na nic ani na nikogo nie liczy, kiedy padający wie, że go nie podniosą, kiedy człowiek nie ma przed sobą absolutnie niczego poza śmiercią sam na sam z niewzruszonym tłumem. Niemożliwe, pomyślał. Absolutne nieszczęście. Po prostu jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

- Nigdy nie zdołamy im pomóc - wymamrotał Wadim. - Tysiące ludzi i wszystkiego im brak.

Anton powoli dochodził do siebie. Dwadzieścia transportowych gwiazdolotów, pomyślał. Odzież. Pięć tysięcy kompletów. Jedzenie, dziesięć połowych syntetyzatorów. Szpital, sześćdziesiąt pawilonów. A może to za mało? Może tu nie ma wszystkich? Może są jeszcze inni gdzieś indziej?

Ładnie bym wyglądał, gdybym kazał wrócić z szosy na "Okręt", pomyślał z zadowoleniem.

Stali w milczeniu, nie wychodząc z glidera. Nie mogli zrozumieć, czym zajmują się ludzie na dnie wykopu. Robili coś z maszynami. Z pewnością maszyny były ich nadzieją. Może zamierzali je naprawiać albo wydostać się na nich z tej śnieżnej pustyni?

Wadim usiadł i włączył silnik.

- Stój - powiedział Anton. - A ty dokąd?

- Na Ziemię - odrzekł Wadim. - Nie damy rady.

- Wyłącz silnik. Zaczynasz histeryzować?

- A co ma do tego histeria? Naszymi siedmioma bochenkami ich nie nakarmisz.

Anton podniósł worek z medykamentami i przerzucił przez burłę. Potem chwycił worek z żywnością.

- Niech pan to weźmie - powiedział do Saula. - Wadimie, przygotuj translator. Będziesz tłumaczył.

- Po co? - odburknął Wadim. - Po diabła tak komplikować? Stracimy jedynie czas, a tutaj bez wątpienia co minutę umiera człowiek.

Anton przerzucił przez burtę worek z żywnością.

- Dowiemy się, ilu ich jest. Dowiemy się, czego potrzebują. Dowiemy się wszystkiego. Z czym ty masz zamiar wracać na Ziemię?

Wadim bez słowa zeskoczył w śnieg i zarzucił na ramię worek z lekarstwami. Anton popatrzył wyczekująco na Saula. Saul wyjął z ust fajkę.

- Wszystko to jest słuszne - przemówił. - Ale nie bierzcie jedzenia.

- Dlaczego? Nakarmimy najsłabszych od razu.

- Niech pan nie robi głupstw. Zobaczą jedzenie. Zobaczą odzież. Rozdepczą was razem z waszymi workami.

- To nie dla wszystkich - pouczająco rzekł Anton. - Wyjaśnimy im, że to dla najsłabszych.

Przez kilka sekund Saul patrzył na niego z wyrazem dziwnego współczucia. Następnie zapytał:

- Czy pan wie, czym jest tłum?

- Niech pan weźmie worek - cicho powiedział Anton. - Czym jest tłum, opowie mi pan później.

Saul z westchnieniem zarzucił sobie worek na ramię i sięgnął po skorczer poniewierający się na siedzeniu.

- Nie, to niech pan zostawi - poprosił Anton.

- Nie, ja muszę - sprzeciwił się Saul. Sapiąc, przesunął głowę przez pasek skorczera.

- Proszę, panie Saulu. Pan się boi i może strzelić.

- Oczywiście, boję się. Boję się o was.

- Rozumiem, że nie o siebie - kontynuował Anton cierpliwie.

Saul, wyszczerzywszy zęby, zaczął przelażać przez burtę.

- Saulu Replin - żelaznym głosem powiedział Anton. - Proszę oddać broń!

Saul przysiadł na burcie.

- Przecież pan nie umie strzelać - oświadczył.

- Umie - odrzekł Anton patrząc mu w oczy.

I tak za każdym razem, myślał z irytacją. Za każdym razem w najważniejszym momencie nawalają komuś nerwy. I trzeba doprowadzać takiego do rozsądku, zamiast zajmować się czymś poważnym.

Saul oddał skorczer. Anton wsunął broń za pazuchę i skoczył w śnieg obok Wadima. Wadim z workiem na ramieniu stał spokojnie z pochyloną głową i poprawiając na skroni mnemokryształ, z ciekawością obserwował poczynania kapitana.

- Wobec tego wezmę trzeci worek - powiedział Saul jakby nigdy nic.

- Tak, bardzo proszę - rzekł grzecznie Anton.

Zaczęli schodzić w dół do wykopu.

- W razie czego - poradził Saul - niech pan strzela w powietrze. Wszyscy się natychmiast rozbiegną.

Anton nie odpowiedział. Zastanawiał się, jak działać dalej.

- Wadimie - zawołał. - Czy potrafisz się z nimi porozumieć?

- Jakoś sobie poradzę. Teraz ty jesteś najważniejszy. Gdybyś był prawdziwym lekarzem, o nic bym się nie niepokoił.

Tak, pomyślał Anton, gdybym był prawdziwym lekarzem... Oni, oczywiście, są humanoidami. I ich anatomia z pewnością nie różni się zbytnio od naszej. Ale za to fizjologia... Przypomniał sobie, jak okropne skutki pociągnęło za sobą zaaplikowanie zwykłej jodyny humanoidom na Tagorze.

- Należałoby zbadać, jak działają te maszyny - z troską powiedział Wadim. - Moglibyśmy ich stąd wywieźć. Może niczego im więcej nie potrzeba? Tylko dlaczego nikt im nie pomaga? Co za absurdalna planeta?!... Nie zdziwi mnie, jeśli się okaże, że wyleciały im w powietrze wszystkie miasta naraz...

Przeszli już połowę zbocza, kiedy Saul poprosił:

- Zaczekajcie chwileczkę.

Wszyscy się zatrzymali.

- Co się stało? - spytał Anton. - Zmęczył się pan?

- Nie - odparł Saul. - Ja nigdy się nie męczę. - Uważnie wpatrywał się w coś na dole. - Czy widzicie taką pokracczną maszynę z brzegu? Oo, tamtą, najbliższą. Na jej "błotniku" siedzi człowiek w czymś szarym...

- Widzę - niepewnie rzekł Anton.

- No i co? Ma pan młodsze oczy...

Anton wyteńczył wzrok.

- Siedzi człowiek - zaczął i nagle zamilkł. - Dziwne... - mruknął.

- Tam siedzi człowiek w futrzanym ubraniu - oświadczył Wadim. - Oto co widzę. Zakutany w futra aż po oczy.

- Nic nie rozumiem - powiedział Anton. - Może chory?

- Może - niby zgodził się Saul. - A tam macie jeszcze dwóch chorych. Od dawna już na nich patrzę.

Ale są trochę daleko...

Po przeciwległej stronie wału wyraźnie rysowały się na tle bladego nieba dwie czarne, kudłate figurki. Stały zupełnie nieruchomo, na szeroko rozstawionych nogach i każda z nich trzymała w wyciągniętej w bok ręce długą, cienką tykę.

- Cóż oni tam mają? - spytał Wadim. - Anteny?

- Anteny? - powtórzył Saul, wpatrując się dokładniej. - Zdaje się, że wiem, co to za anteny...

Rozdzierający krzyk był sygnałem do gwałtownego zamieszania. Antona przeszły ciarki.

Ogłuszająco ryknął jakiś silnik, rozległ się wielogłosy lament i zobaczyli, jak masywna, podobna do głębinowego czołgu maszyna ze zgrzytem zakręciła się w miejscu i nagle popęzła naprzód, stale zwiększając szybkość i przewracając inne mechanizmy, prosto na szereg ludzi. Z jej wnętrza gramoliły się i koziołkując staczały na udeptany śnieg ludzkie figurki. Szereg ani drgnął. Anton zasłonił dłońmi usta, żeby nie krzyknąć. Przez łoskot i ryk przedarł się wysoki, żalony głos i raptem szereg zbił się w zwarty tłum i runął naprzeciw czołgowi. Anton nie wytrzymał - zamknął oczy. Wydawało mu się, że mimo ryku silnika, słychać straszny, mokry chrzęst.

- Mój Boże - niezrozumiale mamrotał mu nad uchem Saul. - O mój Boże...

Anton zmusił się do otwarcia oczu. Na miejscu czołgu mrowił się olbrzymi, ruchliwy kłęb, który

wolnietko pełził, coraz bardziej przechylając się na bok. Za nim na śniegu rozplywała się szeroka, jaskrawoczerwona wstęga. Dookoła tej sterty ciał była wolna przestrzeń, tylko czterech ludzi w futrach bez pośpiechu szło w tej pustce, nie pozostając w tyle ani na krok za oblepionym ludźmi czołgiem.

Anton machinalnie popatrzył na ludzi z tykami. Stali w tym samym miejscu, w poprzedniej pozycji, zupełnie nieruchomi, tylko jeden z nich nagle płynnym ruchem przełożył tykę do drugiej ręki i znowu zamarł w bezruchu. Zdaje się, że nawet nie patrzyli w dół.

Ryk silnika umilkł. Czołg został obalony na bok i ludzie powoli spełzali z niego, odsuwając się nieco dalej. Wówczas Wadim, nie mówiąc ani słowa, cisnął swój worek w dół i gigantycznymi susami rzucił się w ślad za nim. Anton także pobiegł na dół. Przez szum w uszach słyszał, jak depczący mu po piętach Saul krzyczy, tracąc z wysiłku dech: "Łajdacy!... Dranie!..."

Kiedy Anton dobiegł do czołgu, ludzie w workach na powrót ustawiali się w szeregu, a ludzie w futrach chodzili wśród nich i wołali coś żałosnymi, jęklivymi głosami. Wadim, wlokąc za sobą worek umazany błotem i krwią, pełzał na czworakach między porzucanymi pod czołgiem ciałami i najwyraźniej był w rozpacz. Zwrócił do Antona bladą twarzą i powiedział:

- Tu są tylko martwi... Tutaj wszyscy już umarli...

Anton rozejrzał się dookoła. Nie mogąc złapać tchu, mokrzy od potu i topniejącego śniegu, ledwie okryci szarymi płóciennymi łachmanami, ludzie patrzyli na niego mętnymi, nieruchomymi oczami. Ludzie w futrach, zbiwszy się nie opodal w gromadkę, również patrzyli na niego. Przez sekundę wydało mu się, że roztacza się przed nim starodawne naturalistyczne panneau: wszyscy byli nieruchomi i patrzyli nań setkami par nieruchomych oczu.

Wziął się w garść. Ci, których szukał Wadim, stali w szeregu - wysoki, kościsty starzec z poharataną wilgotno-czerwoną twarzą; młodzik przyciskający do piersi nienaturalnie wykręconą rękę; zupełnie nagi człowiek z szarą twarzą, kurczowo trzymający się za brzuch rozczapierzonymi palcami o złożonych paznokciach; człowiek z zamkniętymi oczami i podkurczoną nogą, z której rytmicznie tryskała czarna krew... Wszyscy żywi stali w szeregach.

- Spokojnie - powiedział na głos Anton. Schylił się, otworzył worek z lekami i wyjął puszkę z koloidem. Odkręcając po drodze przykrywkę, skierował się do człowieka ze zmiążdżoną nogą. Wadim z narażeniem tampostrów szedł tuż za nim.

...Paskudna rana... Rozwalone mięśnie, krew prawie już nie cieknie. Czemu on nie usiądzie?... Dlaczego nikt go nie podtrzyma?... Koloid... Teraz plaster... Kładź równiej, Wadimie, nie wyciskaj koloidu... Dlaczego tak cicho? A tu już znacznie gorzej - rozdarty brzuch... On już nie żyje. Jakim cudem więc stoi?... Wykręcona ręka - drobiazg... Trzymaj mocniej, Wadimie! Jeszcze mocniej! Dlaczego on nie krzyczy? Dlaczego w ogóle nikt nie krzyczy? A tam ktoś już upadł...

- Podnieście go, hej wy tam, zdrowi!...

Poczuł, że ktoś dotyka jego ramienia i gwałtownie się odwrócił. Przed nim stał człowiek w futrze. Miał rumianą, nieco brudną twarz, zezujące w dół oczy, z koniuszka krótkiego nosa zwisała mętna kropla. Dłonie w futrzanych rękawicach trzymał złożone przed piersią.

- Witaj, witaj... - powiedział Anton. - Później... Wadimie, zajmij się nim.

Człowiek w futrze zaczął coś szybko mówić, kręcąc przy tym głową, i natychmiast stojący obok

Antona Wadim przemówił z bardzo podobną intonacją. Człowiek w futrze zamilkł, ze zdumieniem popatrzył na Wadima, następnie znowu na Antona i cofnął się. Anton z irytacją poprawił za pazuchą ciężki skorczer i odwrócił się do rannego. Ranny stał, zasłaniając twarz rękami. I wszyscy ludzie na prawo i na lewo od Antona stali zasłaniając twarze rękami oprócz umarłego z szarą twarzą, który dalej trzymał się za brzuch.

- To nic, to nic - powiedział Anton łagodnie. - Opuśćcie ręce, nie bójcie się. Wszystko będzie dobrze...

Ale w tej chwili zabrzmiał wysoki, żalony głos - i wszyscy ludzie w workach jednocześnie zwrócili się w prawo. Ludzie w futrach pobiegli truchtem wzdłuż szeregu. Znowu rozległ się jęklivy głos i kolumna ruszyła.

- Stójcie! - krzyknął Anton. - Nie wariujcie!

Nikt nawet się nie odwrócił. Kolumna szła i wszyscy, którzy przechodzili obok Antona, zasłaniaли twarze rękami. Jedynie człowiek z rozprutym brzuchem tkwił nadal w pozycji stojącej, potem jednak ktoś go potracił i umarły łagodnie upadł w śnieg. Kolumna odeszła.

Anton skonsternowany przesunął mokrą dłonią po oczach i rozejrzał się. Zobaczył ogromny, przewrócony czołg, długiego, czarnego Saula tuż obok, Wadima, śledzącego dzikim wzrokiem oddalającą się kolumnę i kilkadziesiąt ciał na ubitym śniegu. Wszystko ucichło, tylko od czasu do czasu z oddali dobiegały żalony okrzyki.

- Dlaczego? - spytał Wadim. - Czego oni się przestraszyli?

- Przestraszyli się nas - powiedział Anton. - A najprawdopodobniej wystraszyli się naszej medycyny...

- Dogonię ich i postaram się wyjaśnić...

- W żadnym wypadku. To trzeba robić bardzo delikatnie. Jakie jest pańskie zdanie, panie Saulu? Saul, odwróciwszy się plecami do wiatru, zapalał fajkę.

- Moje zdanie... - powtórzył. - Mnie tu się bardzo nie podoba...

- Tak - podchwycił Wadim. - Jakaś okropna, chorobliwa, podła sytuacja...

- Dlaczego zaraz podła sytuacja? - powiedział Saul. - A kim są według pana ci nikczemnicy w futrach?

- Dlaczego akurat nikczemnicy?

- A kim oni są, pana zdaniem?

Wadim milczał.

- Zdrowe, spalone byki w futrach - powiedział Saul z dziwnym wyrazem twarzy. - Rozkazują ludziom rzucać się pod czołg. Sami nie pracują, a tylko patrzą, jak pracują inni. Malowniczo sterczą sobie na wale z pikami na podorędziu. Kim są, według was, te dryblasy?

Wadim milczał.

- Pomyślcie - nalegał Saul. - Jest o czym pomyśleć...

Anton powiedział, patrząc w niebo:

- Zmierzcha się. Obejrzyjmy maszynę, skoro już tu jesteśmy. I tak wcześniej czy później trzeba będzie się tym zająć...

- No to chodźmy - zgodził się Saul.

Anton starannie zamknął worek z medykamentami i poszedł z Saulem w stronę czołgu. Wadim nie ruszył się z miejsca. Ponuro patrzył na zbroczę, którym powoli pełzła czarna kropkowana linia - ogon odchodzącej za wał kolumny.

Owalny pancerz czołgu stał otworem. Korpus pojazdu przegradzała błoniasta ścianka. Anton włączył latarkę i zaczęli wspólnie oglądać karbowane burty kabiny, matowe złącza silnika, jakieś krzywe zwierciadła na kolankowatych prętach podobnych do bambusa, a także dno kabiny - wklęsłe, upstrzone mnóstwem maleńkich otworków, przypominające gigantyczny durszlak.

- Taak - przeciągnął Saul. - Ciekawa maszyna. A gdzie jest układ sterowniczy?

- Możliwe, że to automat - z roztargnieniem rzekł Anton. - Zresztą, chyba nie... Za dużo tu wolnego miejsca...

Włożył do silnika. Był to dosyć prymitywny quasyzywy mechanizm zasilany prądem wysokiej częstotliwości.

- Potężna maszyna - z szacunkiem zauważył Saul. - Tylko jak się nią kieruje?

Wrócili do kabiny.

- Dziureczki jakieś - mamrotał Saul. - Gdzie tu jest kierownica?

Anton spróbował wsunąć do jednego z otworów palec wskazujący.

Palec nie wchodził. Wtedy Anton włożył mały palec. Poczul krótkie, bolesne ukłucie i w tymże momencie w silniku coś przekreśliło się z rykiem.

- No, teraz już wszystko jasne - powiedział Anton oglądając swój mały palec.

- Co się wyjaśniło?

- Nie możemy sterować tą maszyną... I oni też nie zdołają.

- A kto by to potrafił?

- Obawiam się twierdzić z całą pewnością, ale to najwidoczniej coś z gospodarstwa Wędrowców.

Widzi pan?... To nie jest maszyna dla humanoidów.

- Co pan mówi? - wymamrotał Saul.

Przez chwilę stali w milczeniu przed kabiną, usiłując wyobrazić sobie istotę, która czułaby się w tym durszlaku równie wygodnie, jak oni w fotelu kierowcy przed pulpitemi i ekranami.

- Tak też mi się zdawało - oświadczył Saul. - To zbyt paradoksalne: jutowe worki i transport zerowy...

- Wadimie! - zawołał Anton.

- Co? - doleciał z góry posępny głos. Wadim stał na czołgu.

- Słyszałeś?

- Słyszałem. Tym gorzej dla nich... - Wadim ciężko zeskoczył w śnieg. - Czas wracać - powiedział. - Ściemnia się...

Władowali sobie na ramiona worki i zaczęli wchodzić na wał.

Co za mętlik, myślał Anton. Maszyny pozostawione przez niehumanoidów. Humanoidzi, którzy stracili ludzki wygląd, rozpaczliwie usiłujący zorientować się w działaniu tych maszyn. Bo przecież niewątpliwie próbują. Z pewnością jest to dla nich jedyny ratunek... I nic im, oczywiście, nie wychodzi... I jeszcze jacyś dziwni ludzie w futrach...

- Panie Saulu - zapytał. - Co to są piki?

- Kopie - wyjaśnił Saul, postępując.

- Kopia...

- Długi, drewniany pręt - z rozdrażnieniem powiedział Saul. - Na końcu ostry, żelazny grot, często z zębami. Używany do przebijania na wylot bliźniego. - Saul zamilkł, ciężko dysząc. - Może za jednym zamachem wyjaśnić, co to jest miecz?

- Wiemy, co to jest miecz - burknął Wadim nie odwracając się. Szedł pierwszy.

- Otóż każdy z tych bandytów w futrach miał na plecach miecz - powiedział Saul. - Posłuchajcie, młodzi ludzie, może byśmy tak odpoczęli?

Usiedli na workach.

- Dużo pan pali - Anton zwrócił uwagę Saulowi. - To jest bardzo niezdrowe.

- Palenie i picie skrócą ci życie - oświadczył Saul.

Zrobiło się całkiem ciemno. Wykop na dole zapełnił się mrocznymi cieniami. Niebo oczyściło się z chmur, pojawiły się gwiazdy. Z lewej strony gasła zielonkawa poświata zachodu. Antenowi zmarzły uszy i zadrżała na myśl o nieszczęśnikach brnących teraz boso po skrzypiącym śniegu. Dokąd oni tak brną? Może gdzieś w pobliżu mają jakieś schronienie? A przecież jeszcze wczoraj siedzieliśmy z Dimką na ganku, było ciepło, oszałamiająco pachniał sad, brzęczały cykady, a wujek Sasza wołał nas ze swego domku, zapraszając na lemoniadę... Dlaczego Saul jest tak uprzedzony do tych ludzi w futrach?

Saul z westchnieniem podniósł się i powiedział:

- Chodźmy.

Załadowali się do glidera, nasunęli kopułę i Wadim od razu włączył ogrzewanie na pełną moc. Anton rozpiął kurtkę, wyciągnął nagrany skorcezer i rzucił go na siedzenie obok Saula. Saul gniewnie chuchał w dłonie. Na jego kosmatych brwiach topniał szron.

- A więc, Wadimie - powiedział - co pan wymyślił?

Wadim zajął miejsce kierowcy.

- Myśleć będziemy potem - oświadczył. - Teraz trzeba działać. Ludzie potrzebują pomocy i...

- A dlaczego pan doszedł do wniosku, że ludzie potrzebują pomocy?

- Mam nadzieję, że pan nie żartuje? - spytał Wadim.

- Daleko mi do żartów - podkreślił Saul. - Zdumiewa mnie tylko to, że pan tak strasznie chce zrozumieć, co się tu dzieje. Dlaczego pan bez przerwy powtarza jedno i to samo: "potrzebują pomocy, potrzebują pomocy"?

- A jak pan ocenia sytuację? Według pana, nie potrzebują?

Saul zerwał się na nogi, wałnął głową o kopułę i usiadł z powrotem. Przez kilka sekund milczał.

- Znowu zwracam waszą uwagę - powiedział wreszcie - na niezwykle ważną okoliczność, że tam, w wykopie, bynajmniej nie wszyscy ludzie potrzebują odzieży i tak dalej. Że tam, w wykopie, widzieliśmy ludzi zdrowych, sytych i uzbrojonych. I tym ludziom sytuacja nie wydaje się taka beznadziejna, jak wydaje się wam. Chcecie pomóc potrzebującym. To wspaniale. Miłuj, że się tak wyrażę, bliźniego swego dalekiego. Ale czy nie wydaje się wam, że tym samym wejście w konflikt z pewnym ustalonym tu porządkiem? - zamilkł, wpatrując się badawczo w Antona.

- Nie wydaje mi się - oświadczaj Wadim. - Nie chcę myśleć o ludziach gorzej niż o samym sobie. Nie mam żadnych podstaw, aby uważać, że jestem lepszy od innych. Rzeczywiście, tam, w wykopie, panuje nierówność. I futra wyglądają dziwnie. Ale jestem całkowicie pewien, że to wszystko można jakoś zupełnie po ludzku wytłumaczyć. I że pomoc Ziemian nigdy nie uczyni szkody. - Zaczerpnął oddechu. - A co się tyczy pik i mieczy, to przecież ktoś musi ochraniać tych nieszczęśliwców. Mam nadzieję, że nie zapomniał pan tych przemiłych ptaszków na równinie?

Anton w zadumie pokiwał głową. Jak to było na "Kwiatku", pomyślał. Dwa tygodnie żyliśmy na połowie tlenowej racji, nic nie jedliśmy i nie piliśmy. Inżynierowie naprawiali syntetyzatory, więc oddaliśmy im wszystko, cośmy tylko mieli. I pod koniec drugiego tygodnia wyglądaliśmy z pewnością niewiele lepiej od tych ludzi...

Saul schylił głowę i ze smutkiem pstryknął palcami.

- Płaszczyzna, płaszczyzna... - mamrotał. - Wszystko na jednej płaszczyźnie, jak zawsze. Jak tysiące lat temu.

Czekali w milczeniu.

- Jesteście wspaniałymi ludźmi - cichutko powiedział Saul. - Ale teraz nie wiem, czy mam płakać, czy raczej cieszyć się, patrząc na was. Nie zauważacie tego, co jest dla mnie zupełnie oczywiste. I nie mogę was za to winić. Ale posłuchajcie jednej krótkiej przypowieści. Dawno, dawno temu jacyś przybysze - możliwe, że byli to wasi Wędrowcy - zostawili na Ziemi pewien przyrząd. Składał się z dwóch części: robota i aparatu do zdalnego sterowania tym robotem. Przy czym sterować robotem można było za pomocą myśli. Obie części poniewierały się w Arabii przez kilka tysiącleci. A potem urządzenie sterujące trafiło przypadkiem w ręce arabskiego chłopca o imieniu Aladyn. Historię Aladyna pewnie znacie. Chłopak wziął aparat za lampę. Pocierał ją i ze straszliwym łoskotem przybiegał nie wiadomo skąd czarny, być może nawet ziejący ogniem robot. Chwytał nieskomplikowane myśli wyrażające proste pragnienia Aladyna i niszczył miasta oraz wznosił pałace. Wyobrażacie sobie - biedny, brudny, prymitywny arabski chłopak. Jego świat - to świat ifrytów i czarowników, a robot był dla niego, oczywiście, dzinem, niewolnikiem aparatu podobnego do lampy. Jeśliby ktokolwiek usiłował wytłumaczyć mu, że ten duch jest dziełem ludzkich rąk, chłopak biłby się do ostatniego tchu z bezczelnym śmiałkiem i bronił swego świata, pragnąc pozostać na płaszczyźnie swoich wyobrażeń. I wy postępujecie tak samo. Bronicie jednolitości swego światopoglądu, pragniecie obronić godność rozumu. I w żaden sposób nie chcecie zrozumieć, że tutaj nie mamy do czynienia z katastrofą, z jakąś żywiołową lub techniczną klęską, lecz z określonym porządkiem rzeczy. Z systemem, młodzi ludzie. I to jest naturalne. Zaledwie dwa i pół wieku temu połowa ludzkości była przekonana, że garbatego tylko grób wyprostuje i że człowiek jak był bestią, tak bestią pozostanie, i istniały wystarczające podstawy do takiego poglądu. - Zazgrzytał zębami. - Nie chcę, żebyście się mieszały do tej sprawy. Was tu zabiją. Powinniście wrócić na Ziemię i zapomnieć o wszystkim. - Popatrzył na Antona. - A ja zostanę tutaj.

- Po co? - spytał Anton.

- Muszę - powoli odrzekł Saul. - Popelnilem pewne głupstwo. A za głupstwa trzeba płacić.

Anton gorączkowo myślał: co powiedzieć temu niezwykłemu człowiekowi.

- Pan, oczywiście, może zostać - rzekł wreszcie. - Ale tu już nie chodzi o pana. To znaczy nie tylko o

pana. My również zostajemy. I trzymajmy się na razie razem.

- Zabiją was - powiedział z rezygnacją Saul. - Przecież wy nie umiecie strzelać do ludzi.

Wadim trzepnął się po kolanach i powiedział serdecznie:

- Przecież my pana rozumiemy, panie Saulu! Ale przez pana przemawia historyk, który również nie może się wydostać z zakłętego kręgu dotychczasowych pojęć. Nikt nas nie zabije. Spróbujmy podejść do tego prościej. Niepotrzebne są nam żadne wymyślne komplikacje. Jesteśmy ludźmi, więc postarajmy się działać jak ludzie.

- Postarajmy - powtórzył Saul zmęczonym głosem. - I przekaśmy coś. Nie wiadomo, co będzie potem.

Antonowi nie chciało się jeść, ale jeszcze mniejszą miał ochotę na sprzeczkę. Saul miał z pewnością rację, Wadim też miał rację, i jak zawsze, miał rację KOMKON, a w ogóle teraz najbardziej potrzebna była informacja.

Wadim niechętnie dłuwał łyżką w puszcze z jedzeniem. Saul jadł z ogromnym apetytem, niewyraźnie pogadując:

- Jedzcie, jedzcie. Syty żołądek to podstawa każdego przedsięwzięcia.

Anton obmyślał plan działania. Klęska żywiołowa czy klęska społeczna - wszystko jedno, mamy do czynienia z klęską. I ingerencja jest nieunikniona. Tylko nie należy desperacko, bez zastanowienia uciekać do domu, na Ziemię, z okrzykiem: "Ratunku!" ani równie desperacko rzucać się w wir wydarzeń, wymachując jednym workiem z żywnością... Szkoda Saula, ale jego sprawę trzeba będzie na razie odłożyć. Tak więc przede wszystkim - informacja... Anton powiedział:

- Polecimy teraz śladami kolumny. Myślę, że gdzieś w pobliżu powinno być ich osiedle.

Saul z przekonaniem pokiwał głową.

- Znajdziemy kogoś bardziej rozbitego - kontynuował Anton - a ty, Dimka, wszystkiego się od nich dowiesz. A dalej zobaczymy.

- Weźmiemy "języka" - oświadczył Saul oblizując łyżkę. - Słusznie.

Przez kilka sekund Amon usiłował zrozumieć, co ma do tego język. Potem przypomniał sobie z jakiejś książki: "Idźcie, poruczniku, i żebyście mi bez »języka« nie wracali." Pokręcił głową.

- Ależ nie, panie Saulu, dlaczego "język"? Trzeba działać spokojnie, pokojowo. Ale na wszelki wypadek niech się pan lepiej trzyma z tyłu. Niech pan zostanie w gliderze. Pan nigdy nie był w niebezpiecznych sytuacjach i po prostu się boję, że pan straci głowę.

Przez chwilę Saul patrzył na niego zapadniętymi oczami.

- Tak, oczywiście - odpowiedział powoli. - Książkowy, jak to się mówi, mól.

Była już noc, kiedy glider ruszył z miejsca, przeskoczył wykop i pomknął wzdłuż wydeptanej drogi prowadzącej na wschód. Nad równiną podnosił się coraz wyżej mały, jaskrawy księżyc, a na zachodzie nad pasmem górskim wisiał szkarłatny, wąski sierp. Droga skręcała omijając wysoki pagórek i wówczas zobaczyli kilka rzędów przysypanych śniegiem chałup.

- Tutaj - powiedział Anton. - Zejdź nizej, Wadimie.

Rozdział 5

Wadim wylądował na pierwszej ulicy. Odrzucił do tyłu kopułę i do wnętrza wdarł się ohydny smród - fetor ekskrementów na mrozie, przygnębiająca woń wielkiego nieszczęścia. Po obu stronach ulicy stały pokrzywione, obszarpane, nędzne budy bez okien, w księżycowej poświacie srebrzyły się czapy czystego śniegu na płaskich dachach i odpychająco czerniały zasy przy wejściach do chat. Ulica zionęła pustką i można było pomyśleć, że osiedle jest opuszczone, ale ciszę przerywały chrypienia, westchnienia i przygłuszony trzask suchego kaszlu.

Wadim powoli poprowadził glider wzdłuż ulicy. Śmierzący mróz palił twarze. Ani na ulicy, ani w ciemnych bocznych zaułkach nie było żywego ducha.

- Są wykończeni - wyjaśnił Wadim. - Śpią. Trzeba będzie ich budzić. - Znowu zatrzymał glider. - Zaczekajcie tu, a ja pójde się rozejrzeć.

- Dobrze, chodźmy - powiedział Anton.

- Nie warto chodzić we dwóch - zaproponował Wadim, wyskakując na drogę. - Tylko popatrzę i zaraz wracam. Jeśli tutaj nic nie wyjdzie, pojedziemy dalej.

Anton powiedział:

- Panie Saulu, proszę tu posiedzieć. Zaraz wrócimy.

- Nie róbcie hałasu - uprzedził Saul.

Wadim niezdecydowanie zatrzymał się przed wąską, zapaskudzoną ścieżką prowadzącą do drzwi najbliższej chałupy. Sama myśl o jej wnętrzu przejmowała go strachem i obrzydzeniem. Obejrzał się. Anton stał już obok niego.

- No, co z tobą? - odezwał się. - Naprzód.

Wadim pewnym krokiem wszedł na ścieżkę, lecz od razu poślizgnął się i niewiele brakowało, żeby upadł. Zrobiło mu się niedobrze, więc poszedł szybciej, podnosząc głowę, aby nie widzieć ścieżki. Drzwi z przeraźliwym skrzypieniem otworzyły się i z wnętrza wyskoczył całkiem goły, długi jak tyka człowiek. Runął w zlodowaciałą zaspę i martwo stuknął o ścianę chałupy. Wadim pochylił się nad nim. Był to trup już od dawna skostniały. Iluz to ja ich widziałem w ciągu dzisiejszego dnia, pomyślał Wadim. W chałupie rozległ się kaszel. Nagle wysoki, skrzypiący głos zaintonował pieśń. Śpiew był podobny do skowytu. Nieznany śpiewak wyciągał same tylko smętne rulady bez słów. A może był to po prostu płacz?

Wadim obejrzał się. Na drodze czerniała okrągła bryła glidera, nieruchomo tkwiła w niej ciemna sylwetka Saula. Niesamowicie błyszczał pod jaskrawym księżycem śnieg na opustoszałej ulicy. Zawodził i jęczał żafosną skargą wysoki głos za drzwiami. Anton leciutko szturchnął Wadima w bok.

- Straszno, co? - spytał półgłosem. Twarz miał białą, jakby zamarznąłą.

Wadim nie odpowiedział. Otworzył na oścież drzwi i włączył latarkę. Ohydne, duszne powietrze uderzyło go w nozdrza i stracił oddech. Krąg światła upadł na mokre klepisko pokryte bladą, wydeptaną trawą. Wadim ujrzał dziesiątki skurczonych ciał przyciśniętych do siebie, płataninę wychudłych, gołych nóg z olbrzymimi stopami, wysuszone twarze zniekształcone ostrymi cieniami, otwarte, czarne usta - ludzie spali na gołej ziemi i jeden na drugim. Wydawało się, że leżą tworząc kilkuwarstwowe stosy ciał i widać było, jak

wszyscy drżą we śnie. A głos zawodził bez wytchnienia, bez chwili przerwy. Wadim nie od razu zauważył śpiewaka, ale potem schwytał go w krąg światła. Człowiek, obejmując chude kolana, siedział na plecach śpiących. Patrzył na światło latarki szklanymi oczami i śpiewał, rozciągając popękane wargi.

- Przyjacielu - powiedział Wadim. - Posłuchaj. - Przerwij na moment. Powiedz cokolwiek.

Człowiek ani drgnął. Wydawało się, że nie widzi światła i nie słyszy głosu.

- Przyjacielu - powtórzył Wadim. - Posłuchaj.

Nagle śpiewak głośnym okrzykiem zakończył pieśń, zwałił się na wznak i zamarł w bezruchu.

Natychmiast zmieszał się ze śpiącymi i Wadim już nie potrafiłby go odnaleźć. Nerwowo przełknął ślinę, zrobił krok naprzód i poklepał kogoś po gołej nodze. Noga była lodowata, martwa. Wadim dotknął innej nogi. Także i ta noga była lodowata, martwa. Wówczas odwrócił się i tracąc równowagę wpadł na coś szerokiego i ciepłego.

- Spokojnie - usłyszał głos Antona.

Wadim pokręcił głową, przychodząc do siebie. Całkiem zapomniał o Antonie.

- Nie mogę - wymamrotał. - To beznadziejne.

Anton wziął go za łokieć i poprowadził do wyjścia. Mroźne powietrze wydało się Wadimowi czyste i słodkie.

- Nie mogę - powtórzył. - Niepodobna znaleźć tu kogoś żywego. Wszyscy są sztywni. Martwi. -

Odsunął się od Antona i ostrożnie ruszył ścieżką w kierunku drogi. Saul jak przedtem nieruchomo tkwił w gliderze. Wadim zauważył, że latarka jeszcze się pali, wyłączył ją, wsunął do kieszeni i wrócił na swe miejsce w gliderze. Saul przyglądał mu się w milczeniu. Podszedł Anton, oparł się łokciami o burtę i również zaczął wpatrywać się w Wadima. Wadim przytulił głowę do pałaka steru i powiedział przez zęby:

- To nie są ludzie. Ludzie nie mogą tak. - Nagle uniósł głowę. - To automaty! Ludźmi są jedynie ci w futrach! A to są automaty skandalicznie podobne do ludzi!

Saul westchnął głęboko.

- Raczej nie, Wadimie - powiedział. - To ludzie skandalicznie podobni do automatów.

Anton wszedł do środka i usiadł na swoim miejscu.

- No, weźmy się w garść - powiedział. - Nie traćmy czasu. Potrzebny jest nam "język". - Klepnął Wadima w ramię. - Ruszajcie, poruczniku, i żebyście mi bez "języka" nie wracali.

Saul ni to zaszlochał, ni to roześmiał się.

- Jeśli chcecie, pójde do chaty i wyciągnę któregoś jak leci - zaproponował. - Tylko, według mnie, nie to jest nam potrzebne.

- Więc oni za dnia pracują, a na noc umierają - z uporem obstawał przy swoim Wadim. - Co za potworny pomysł!

- No właśnie - zgodził się Saul. - Pomysł jest potworny i trzeba znaleźć któregoś z pomysłodawców w futrach.

Wadim popatrzył wzdłuż ulicy.

- optymizm - wygłosił - jest to rześkie, pełne radości życia odczuwanie rzeczywistości, dzięki któremu człowiek...

W świetle księżycy ujrzał nagle, że w oddali, przecinając ulicę, przeszło gęsiego kilkanaście szarych

cieni w koszulach.

- Patrzcie - powiedział.

Ludzie brnęli i brnęli przez ulicę, było ich około dwudziestu, a za nimi podążało dwóch w futrach, z długimi tykami.

- Na myśliwego zwierzyna sama wychodzi - powiedział złowieszco Saul. - Wystarczy dogonić i brać...

- Myśli pan, że właśnie tych? - niepewnie zapytał Anton.

- A pan zamierza przetrząsać chałupę za chałupą? Nasi pomysłodawcy w chałupach nie mieszkają, mogę pana o tym zapewnić. Jedźmy, bo jeszcze ich zgubimy...

Wadim westchnął i ruszył z miejsca. Powoli leciał nad ulicą. I usiłował wyobrazić sobie, jak biorą wystraszonego, niczego nie rozumiejącego człowieka pod rękę, ciągną go do glidera i wpychają gwałtem do kabiny, a nieszczęśnik załośnie krzyczy i broni się. Niechby tak spróbowali ze mną, pomyślał. W puch bym wszystko rozniósł... Zaczął przysłuchiwać się rozmowie. Saul mówił:

- Proszę się nie martwić. Wiem, jak to się robi. Mnie nie będzie się wyrwał.

- Pan mnie źle zrozumiał - cierpliwie wyjaśniał Anton. - O żadnej przemocy w ogóle nie ma mowy.

- Niechże pan posłucha. Zdajcie się na mnie. Przecież wy obaj tylko wszystko zepsujecie. Oberwie który kopią i zacznie się taka krwawa kotłowanina...

A to ci gabinetowy uczony, pomyślał ze zdumieniem Wadim. Anton powiedział:

- Wie pan co, panie Saulu? Pan mi się nie podoba. Proszę pozostać w maszynie i niczego nie próbować na własną rękę.

- O Boże - westchnął Saul i zamilkł.

Wadim skręcił w przecznicę i wtedy zobaczyli w oddali ładny piętrowy domek, przed którym zebrała się gromada tubylców oświetlonych czerwonym ogniem pochodni. Ciasno stłoczeni stali tam ludzie w workach, a wokół nich snuli się ludzie w futrach. Wadim pojechał całkiem wolno, trzymając glider po zaciętej stronie ulicy. Nie miał najmniejszego pojęcia, od czego zacząć i co robić. Wszystko wskazywało na to, że Anton również nie wie. W każdym razie milczał.

- Oto gdzie mieszkają pomysłodawcy - oświadczył Saul. - Widzicie, jaki przytulny, ciepły domek? A gdzieś w pobliżu mają pewnie wygodkę. Nic ma to jak łapać "języka" koło wygodki. Nawiasem mówiąc, czy zauważyliście, że nie ma tu ani jednej kobiety?

Drzwi domku otworzyły MC., wyszły stamtąd dwie osoby i stanęły na ganku. Rozległ się zawodzący, żalony krzyk. Tłumek w zgrzebnicach zaczął się poruszać, ustawiać w szeregi i nagle ruszył ku gliderowi. Koło ganku zakrzyczano na kilka głosów, a Wadim pośpiesznie zatrzymał pojazd i wylądował.

Nateżał wzrok i niczego nie rozumiał. Nad uchem dyszał mu ciężko Anton. Ludzie w workach przybliżyli się i szybkim krokiem minęli ich. Wadim jęknął. Dwie dziesiątki bosych ludzi ciągnęły niezdarne, ciężkie sanie, w których rozwaliał się okryty po pas skórą człowiek w futrze i w stożkowatej futrzanej czapie. W rękach trzymał pionowo długą kopię z przerażająco zębatym grotem. Twarze zaprzężonych wyrażały radość i każdy wydawał głośnie, triumfujące okrzyki. Wadim obejrzał się na Saula. Ten odprowadzał wzrokiem dziwny zaprzęg, a usta miał szeroko otwarte.

- Dość mam zagadek - stwierdził nagle Anton. - Jedź prosto pod dom.

Wadim szarpnął ster ku sobie i domek gwałtownie przybliżył się do glidera. Stojący przy ganku ludzie w futrach przez chwilę patrzyli na zbliżający się pojazd, a następnie ze zdumiewającą szybkością rozsypali się półkolem i wystawili przed siebie kopie. Na ganku zaczął skakać, wykrzykując coś żałośnie, okrągły, kudłaty wielkolud. Wymachiwał nad głową szerokim, błyszczącym ostrzem. Wadim zatrzymał glider przed kopiami i wyszedł z kabiny. Ludzie w futrach zrobili parę kroków do tyłu, ciasniej zwierając szeregi. Ostrza kopii skierowane były prosto w pierś Wadima.

- Pokój! - powiedział Wadim i podniósł ręce.

Ludzie w futrach cofnęli się jeszcze trochę. Biła od nich para, zalaływało kozłem. Pod kapturami błyszczały rozszerzone strachem oczy i wyszczerzone zęby. Gruby człowiek na ganku wybuchnął długim przemówieniem. Był niewiarygodnie otyły i potężny. Jego gigantyczna, nalana fizjonomia trzęsła się i lśniła od potu. Grubas przysiadł i prostował się, a nawet unosił się na palcach, dźgając mieczem raz ziemię, raz niebo, a przy tym jazgotał nienaturalnie wysokim, żalonym, kobiecym głosem. Wadim słuchał z pochyloną głową. Mnemokryształy na jego skroniach rejestrowały nieznane słowa i intonacje, analizowały je i już dawały pierwsze, jeszcze nieprecyzyjne warianty przekładu. Mowa była o jakiejś groźbie, o czymś olbrzymim i silnym, o okrutnych karach... Korpulentny jegomość raptem zamilkł, wytarł spoconą twarz rękawem i, wyteżając wszystkie siły, krótko i ostro zajazgotał. W jego głosie czuło się cierpienie. Ludzie z kopiami natychmiast pochyłili się i bardzo powoli ruszyli na Wadima.

- No to wszystko jasne - odezwał się Saul. - Zaczynamy?

Oparł łufę skorczera o burtę.

- Niech pan przestanie, panie Saulu - powiedział Anton. - Wadim, do kabiny!

- No, nad czym pan medytuje? - nie wytrzymał nerwowo Saul. - Przecież to draństwo, esesmani!

Padalce!

Ludzie w futrach ciągle zbliżali się krótkimi, powolnymi kroczkami. Kiedy szerokie, lśniące ostrza oparły się o pierś Wadima, chłopak zrobił krok do tyłu, odwrócił się plecami do nacierających i ruszył do glidera.

- Typowy język izolujący - poinformował towarzyszy, sadowiąc się. - Bardzo ograniczony zasób słów, według wszelkiego prawdopodobieństwa. Pokoju nie chcą, to jasne.

- Postraszymy ich chociaż - poprosił Saul. - Tylko raz, tylko jeden raz w powietrze, żeby portki pogubili!

Anton zatrasnął kopułę. Ludzie w futrach wrócili na ganek i podnieśli kopie. Wszyscy patrzyli na gliuer. Na bezkresnej fizjonomii grubasa błąkał się pogardliwy uśmiech.

- Ech, wy - powiedział Saul. - Potrzebujecie w końcu "języka" czy nie?! Weźmy tego tłuściocha! Przecież to rapportfiihrer we własnej osobie!

- Niechże pan zrozumie - z rozpaczą tłumaczył Anton. - Oni nie chcą z nami rozmawiać! I mają do tego prawo! Co możemy zrobić?

- Potrzebujecie "języka" czy nie? - powtórzył Saul. - Przewagę zaskoczenia już utraciliśmy. Tutaj bez walki się nie obejdzie. Ale jest jeszcze ta gadzina na saniach.

Ależ on ma słownictwo, z szacunkiem pomyślał Wadim. Prawdziwy dwudziesty wiek.

Pierwszorządny specjalista z niego! Popatrzył na Antona. Anton był błydy i roztrzęsiony. Wadim nigdy go

takim nie widział.

- Jedno z dwojga - kontynuował Saul. - Albo chcemy się dowiedzieć, co się tu dzieje, albo lecimy na Ziemię, a tu niech przyślą kogoś bardziej zdecydowanego. A decydować się musimy jak najszybciej, dopóki mamy przeciwko sobie tylko kopie...

Zwlekamy, pomyślał Wadim. Stale się ociągamy. A w chałupach umierają.

- Toszka - powiedział. - Dogońmy sanie. Tam jest tylko jeden z kopią, będzie łatwiej. Odbierzemy mu kopię i zaprosimy na "Okręt".

- Śmieją się z nas, dranie - stwierdził Saul, patrząc przez spektrolit.

Wyraziście pogroził pięścią grubasowi na ganku. Tamten potrząsnął policzkami i nie mniej wyraziście pomachał mieczem.

- Widzieliście? - zapytał wesoło Saul ze złośliwym błyskiem w oku. - Jak my się wspaniale rozumiemy, prawda?

- Spróbuję jeszcze raz - zdecydował Anton i otworzył kopułę. Grubas wrzasnął. Jeden ze zbrojnych wziął szeroki zamach, aż rękaw futra zsunął mu się na ramię, i z całej siły cisnął ciężką kopią. Żelazny grot ze zgrzytem prześlizgnął się po spektrolicie. Saul aż przysiadł.

- No, siedem-osiem... - powiedział niezrozumiale, lecz nadzwyczaj energicznie. Anton zdążył złapać go za rękę. Oczy Antona przypominały czarne szpareczki.

- Wszystko jasne - wyrzucił z siebie złowieszczo i gniewnie sapnął. - Wadimie, zawracaj!

Wadim wykonał gliderem odpowiedni manewr.

- Za zaprzęgiem - rozkazał Anton i odchylił się do tyłu na oparcie fotela. - Tu się niczego nie dowiemy - burknął. - Jakaś bezgraniczna tępota.

- Raz w powietrze - powiedział lekceważąco Saul - i można ich brać gołymi rękami.

Anton milczał. Glider przemknął pustą ulicą i po paru minutach wydostali się na otwarty teren.

- Powiem wam tylko jedno - oświadczył nagle Anton. - Wszystkim nam będzie potem okropnie wstyd.

- A co robić? - spytał Wadim. - Przecież umierają ludzie!

- Gdybym tylko wiedział, co robić - powiedział Anton. - Komisji coś takiego nawet się nie śniło. Jakiej znów komisji? chciał zapytać Wadim, ale wtem Saul odezwał się:

- Przestańcie sami się ograniczać. Skoro chcecie czynić dobro, to niechaj będzie ono aktywne.

Dobro musi być bardziej aktywne niż zło, bo inaczej wszystko się zatrzyma.

- Dobro, dobro - burknął Anton. - Kto chciałby być usłużnym durniem jak ten niedźwiedź Kryłowa?

- To z pewnością racja - odpowiedział Saul. - Ale przynajmniej będziecie mieli czyste sumienie.

Dognali zaprzęg pięć kilometrów za osiedlem. Ludzie biegli po dziewiczym śniegu, potykając się i grzęznąc w zaspach, a człowiek w futrze, rozparty w saniach, od czasu do czasu dźgał kopią opieszalych.

- Schodzę w dół - zameldował Wadim.

- Łąduj przed zaprzęgiem - rozkazał Anton - i nawiąż rozmowę. Panie Saulu, proszę mi oddać skorczer. I niech pan siedzi w pojeździe, to człowiek, a nie padalec.

- Dobrze - mruknął Saul. - Może go pan sobie zabrać. A jeśli on zamiast rozmawiać dźgnie Wadima kopią...

Wadim odrzekł:

- Kopię mu zabiorę. Postronki trzeba będzie poprzecinać, a żywność i odzież rozdać tym biedakom.
- Słusznie - zgodził się Anton.

Glider runął w śnieg tuż przed zaprzęgiem i ludzie-konie zatrzymali się jak wryci. Wadim wyskoczył na zewnątrz. Ludzie w workach stali zasłaniając twarze rękami. Dyszeli ciężko, spazmatycznie. Przebiegając obok nich, Wadim krzyknął wesoło:

- Koniec, przyjaciele! Zaraz pójdziecie do domu!

Ruszył ku saniom planując, jak by tu najzręcniej odebrać kopie. Człowiek w futrze klęczał i patrzył na niego ze zdumieniem i strachem. Kopie trzymał pochyloną do przodu.

- Idziemy - zwrócił się Wadim do niego i chwycił za drzewce.

Człowiek w futrze natychmiast wypuścił z rąk kopie i wy dostał skądś miecz. Już wstał.

- No, no, nie trzeba - powiedział Wadim, odrzucając kopie.

Nagle człowiek w futrze zakrzyczał, przeciągłe i żałośnie. Wadim złapał go za rękę trzymającą miecz i pociągnął za sobą. Czuł się bardzo niezręcznie. Człowiek w futrze szarpnął się. Wadim wzmocnił uścisk.

- No, co pan wyrabia, doprawdy, wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie w porządku - zapewniał, rozwierając spoconą pięść, która ścisnęła miecz. Miecz upadł w śnieg. Wadim objął człowieka w futrze za ramiona i poprowadził do glidera. Mruzczał serdeczne słowa starając się nadać swemu głosowi miejscowe intonacje. Wtem rozległ się ostrzegawczy krzyk Saula i Wadim poczuł, że coś zbija go z nóg. Czyjeś dłonie chwyciły go za twarz, ktoś zawisł mu na szyi, kilka rąk wczepiło się w nogi - kilka słabych drżących rąk.

- Czyście powariowali? - ryknął Saul z urazą. - Anionie, trzymaj ich!

Człowiek w futrze znowu szarpnął się mocno. Wadimowi zarzucono na głowę jakieś śmierdzące szmaty, przestał więc cokolwiek widzieć. Ledwie trzymał się na nogach w tłumie rojących się ciał i z całych sił przyciskał do siebie człowieka w futrze. Potem poczuł ostre uderzenie w bok i ból. Wypuścił "języka", poruszył gwałtownie ramionami i, uwolniony, zerwał z twarzy cuchnący worek. Zobaczył szamoczących się w śniegu ludzi i Antona przedzierającego się ku niemu. Odwrócił się. Przed nim siał po kolana w śniegu nagi człowiek z mieczem.

- Za co? - powiedział Wadim.

Człowiek ciął na odlew, ale miecz w jego ręku przekreślił się i spadł na ramię Wadima płazem. Wadim pchnął go ręką w pierś. Człowiek runął w śnieg i znieruchomiał. Wadim podniósł miecz, zamachnął się i odrzucił go daleko w bok. Czuł, jak po biodrze pełźnie mu coś gorącego i mokrego. Obejrzał się.

Ludzie w śniegu leżeli nieruchomo jak trupy. Człowieka w futrze wśród nich nie było.

- Żyjesz? - krzyknął Anton tracąc dech w piersiach.
- Całkowicie - odpowiedział Wadim. - A gdzie "język"?

Zobaczył Saula. Szedł ku nim zamaszystym krokiem wlokąc za kark człowieka w futrze.

- Próbował zwiać - oświadczył. - Co za ludziska!
- Chodźmy stąd - powiedział Anton.

Poszli ku gliderowi, ostrożnie stąpając wśród nieruchomych ciał. Saul szarpnięciem podniósł na nogi człowieka w futrze i poprowadził go, szturchając w plecy.

- Chodź, draniu - mówił przy tym. - Choćże, tłusta mordo. - Śmierdzi od niego straszliwie - zakomunikował. - Chyba rok się nie mył.

Kiedy podeszli do glidera, Anton wziął "języka" za futrzane ramię i wskazałabinę. Człowiek z desperacją pokręcił głową, aż mu spadła czapka. Potem siadł w śniegu.

- Nic będziemy się z tobą patyczkować! - krzyknął Saul.

Podniósł "języka" za futro i przerzucił przez burtę. "Język" z łoskotem upadł na dno kabiny i przycichł.

- Tfu - powiedział ze wstrętem Anton. - Ale zajęcie.

Sięgnął po dwa worki stojące przy gliderze i powłókł je do zaprzęgu. Rozpakował, wyjął odzież i rozłożył na śniegu. To samo zrobił z żywnością. Ludzie sprawiali wrażenie nieżywych i tylko ostrożnie podkulali nogi, kiedy Anton przechodził obok nich.

Wadim stał oparty ze znużeniem o ciepłą burtę pojazdu i patrzył na zryty śnieg, na przewrócone sianie, na ciała skulone w księżycowej poświacie. Słyszał, jak Anton mówi ze smutkiem:

- Komisjo do Spraw Kontaktów, gdzieżeś ty?

Wadim dotknął boku. Krew jeszcze ciekła. Poczul mdłości. Całkiem już osłabiony wygramolił się do kabiny. Wszystko wyszło nie tak, wszystko wypadło niedobrze. Jeniec leżał twarzą do podłogi, zasłaniając głowę rękami. Zapewne oczekiwał śmierci, a być może i tortur. Nad nim, nie spuszczać zeń oczu, siedział rozwścieczony Saul. Podeszedł Anton i również wdrapał się do kabiny.

- Co z tobą? - zapytał.

Wadim z trudnością odrzekł:

- Wiesz, Toszka, zranili mnie. Jestem teraz do niczego.

Anton przyglądał mu się chwilę.

- No, rozbieraj się - rozkazał.

- Ech - chrząknął z irytacją Saul.

Wadim ściągnął kurtkę. Mdliło go. Pociemniało mu w oczach. Zobaczył skupioną twarz Antona i oblicze Saula skrzywione z żalu. W następnej chwili poczuł zimne palce na swym boku.

- Nożem - stwierdził Saul. Jego głos dochodził jakby zza ściany. - Jak pan to wszystko nieumiejętnie. Ja bym go zgarnął jedną ręką.

- To nie on - wymamrotał Wadim. - To mieczem... jeden nagi...

- Nagi? - zdziwił się Saul. - No, przyjaciele, tego to nawet ja nie rozumiem.

Anton coś odpowiedział, ale wtedy przed oczami Wadima popłynęły kręgi i gwiazdy i stracił przytomność.

Rozdział 6

- Proszę spojrzeć, panie Antonie - powiedział Saul. - Antonie! Zemdlął, widzi pan?

- Śpi - odparł Anton. Uważnie oglądał ranę. Rana była cięta i dosyć głęboka. Miecz trafił na żebro i tylko przeciął mięśnie. Anton odetchnął z ulgą. Saul patrzył przez ramię, sapiąc niespokojnie.

- Źle z nim? - spytał szeptem.

- Nie, drobiazg - odrzekł Anton. - Za godzinę wszystko będzie w porządku. - Odsunął Saula. - Proszę tylko, żeby pan usiadł.

Saul odchylił się do tyłu w fotelu i ze złością zaczął się wpatrywać w nieruchomego "języka". Anton bez pośpiechu rozpiął worek, wyjął puszkę z koloidem i obficie zalał ranę. Pomarańczowa galareta od razu zrózowiała, pokryła się różowawymi strzałkami - jak kozuch na mleku. To ci krew, pomyślał Anton. Zdrowe chłopisko z tego Dimki! Popatrzył na twarz Wadima. Była nieco bledsza niż zwykle, ale tak samo spokojna i pełna ukojenia jak zawsze, kiedy spał. I oddychał również jak zwykle, nosem - głęboko, bezszelestnie i swobodnie. Anton położył palce po obu stronach rany i zamknął oczy.

Podstawy psychochirurgii wchodziły w zakres przygotowania kosmonauty. Praktycznie każdy pilot umiał, wykorzystując rezonans psychodynamiczny, przeciąć i zagoić żywą tkankę. Operacja wymagała olbrzymiego napięcia i niezwyklej koncentracji. Normalnie stosowano neurogeneratory, ale w warunkach polowych zabieg musiał być wykonany po znachorsku i w takich sytuacjach Anton współczuł znachorom.

Anton słyszał jakby przez sen, jak za jego plecami ciężko wzdycha i kręci się Saul, i pochlipując, mamrocze coś jeniec. Nieprzyjemny, kwaśny odór bijący od tubylca wypełniałabinę.

Anton otworzył oczy. Rana zablizniła się, wypchnąwszy koloid - teraz była po prostu różową blizną. Chyba wystarczy, pomyślał Anton. Inaczej nie będę mógł prowadzić glidera. Był cały mokry.

- No, już po wszystkim - powiedział oddychając głęboko.

Saul uniósł się i popatrzył na ranę.

- Ki diabeł? - mruknął. - Jak pan to robi?

Anton rozejrzał się i wzdrygnął. Na zewnątrz do kopuły przywarły straszne twarze, wychudłe, z zapadniętymi policzkami, z wyszczerzonymi zębami. Niczym starodawna, upiorna wizja: umarli zaglądają do twego domu. Anionowi mróz przeszedł po kościach. Saul ściągnął kosmate brwi i pogroził palcem. Po spektrolicie bezgłośnie zastukały kościste pięści.

- Idźcie do domu! Do domu! - powiedział głośno Saul.

Anton zaczął ubierać Wadima.

- Zaraz polecimy - zapowiedział.

- Przecież pan ich wszystkich pozabija.

Anton pokręcił głową i przedostał się na miejsce kierowcy. Glider drgnął i powoli zaczął się wznosić. Twarze na zewnątrz zniknęły. Długa, koścista ręka z obłamanymi paznokciami ześlizgnęła się po spektrolicie i także znikła.

Nastawiwszy glider na peleng "Okreću", Anton dał pełny gaz. Spieszył się - była już północ.

- Co oni w nim widzą? - mamrotał Saul. - Esesman, zwierzę, sam widziałem, jak dźgał ich pika,

popędzał.

Anton milczał.

- O Boże! - krzyknął Saul. - Ile na nim paskudztwa! Aż się mrowi...

- Co się mrowi?

- Coś w rodzaju wszy. Trzeba go najpierw wymyć i wszystko zdezynfekować...

Jeszcze jedno zajęcie, pomyślał Anton. Saul, jakby odgadując jego myśli, dodał:

- Drobiazg, ja się tym zajmę. Żeby tylko nie padł z wrażenia.

Anton prowadził glider z maksymalną prędkością, trzymając się sto metrów nad ziemią. Mały, jaskrawy księżyc stał prawie w zenicie, czerwony sierp dawno zaszedł, a naprzeciw spoza białego horyzontu wschodził trzeci księżyc, różowy i spłaszczony. Wadim poruszył się, ziewnął głośno, mruknął: "zaleczyłeś?", a potem znowu usnął.

- Co on robi? - spytał Anton. Był tak zmęczony, że nie chciało mu się odwracać.

- Kto?

- "Język".

- Leży i śmierdzi. Wieki całe nie wachałem takiego smrodu...

Wieki całe, pomyślał Anton. A ja w ogóle nigdy nie wachałem. I nie chciałbym... Saul ma rację: niepotrzebnie wplątaliśmy się w tę historię. Saul jest mądrym człowiekiem. To rzeczywiście system. Cywilizacja w fazie niewolnictwa. Niewolnicy i panowie. Co prawda myślałem, że wierni niewolnicy zdarzają się wyłącznie w kiepskich ksiązkach... Wierny niewolnik - jakież to ohydne! No trudno - stało się, odwrót byłby spóźniony i głupi. Przynajmniej, dowiemy się wszystkiego. Ale przecież nie to jest najważniejsze... Gdybym nawet od razu zrozumiał, co tu się dzieje, i tak nie mógłbym odwrócić się plecami... Do wykopu, w którym maszyny miażdżą ludzi... do zagalonego osiedla... Ciekawe, czy Światowa Rada pogodzi się z istnieniem planety o ustroju niewolniczym? Nagle uświadomił sobie cały ogrom problemu. Nigdy jeszcze nie było takiej alternatywy: wpływać lub nie wpływać na historię obcej planety? Mieszkańcy Leonidy i Tagory są zbyt obcy ludziom. Psychologia Leonidan do tej pory pozostaje zagadką i nikt nie potrafi powiedzieć, jaki tam mają ustrój społeczny... A humanoidzi Tagory żądają od przyrody tak mało, że w ogóle nie wiadomo, jak mogli dorosnąć do stworzenia swojej techniki... Ale tutaj, na Sauli, sprawa przedstawia się całkiem inaczej. Nigdzie indziej stosunki społeczne nie przybierają takiej potwornej, a jednocześnie, widocznie, takiej jedynie możliwej formy... Rodzony brat ludzkości - bardzo młody, bardzo niedojrzały i bardzo okrutny... I na dodatek - idiotyczne maszyny przybyszów...

Daleko przed nimi na błękitnej równinie ukazał się maleńki, czarny punkt. Oto i "Okretem", pomyślał Anton. A obok, pod śniegiem - umarli. Jakie to dziwne, minął zaledwie dzień, a już się przyzwyczailem. Jakbym przez całe życie chodził wśród nagich trupów leżących na śniegu. Człowiek łatwo przyzwyczaja się. Psychiczna akomodacja. Dziwne. Być może sedno w tym, że oni są mimo wszystko obcy. Może na Ziemi bym od tego wszystkiego zwariował. Nie, po prostu otepliałem...

Zmniejszając prędkość, zatoczył krąg nad "Okretem". "Okretem" wyglądał pokrzepiająco - znajomy, czarny stożek nad niebieskimi wzgórzami. I dwa ostre cienie: krótki czarny i długi różowy. Glider wylądował przed wejściem. Śnieg wokół "Okretemu" zamarznął i zamienił się w zwarte pole lodowe. Anton poklepał Wadima po kolanie.

- No co, co? - zapytał sennym głosem Wadim.
- Pobudka.
- A niech cię...
- Wstawaj, Dimka. Pójdziemy na "Okręt".
- Zaraz - powiedział Wadim i cmoknął. - Jeszcze chwileczkę...
- Połaskotać go? - rzeczowo zaproponował Saul.

Wadim momentalnie otworzył oczy i podniósł się.

- Aha, to "Okręt"... Rozumiem.

Wyszli na twardy, śliski śnieg. Od mroźnego powietrza zaparło im dech w piersiach. Słychać było, jak Wadim zaszczekał zębami. Saul przytrzymał "języka" za kark. Co myśli teraz ten biedak, zastanawiał się Anton.

- Idźcie na górę - powiedział Saul - a ja z nim prosto pod prysznic.

Weszli do "Okrętu", zaciągnęli błonę wjazdu i Anton, popychając Wadima, zaczął wchodzić na górę do mesy. Wadim drzemał poszczekując zębami. Na dole straszliwie wrzasnął jeniec. Wadim wzdrygnął się.

- Co się tam dzieje? - zapytał niespokojnie.
- Wielkie mycie - wyjaśnił Anton. - Miał pełno pasożytów.

Rozległ się głos Saula:

- Idź po dobremu, może nie padniesz...

Trzasnęły drzwi łazienki. Przyjaciele weszli do mesy i natychmiast zwalili się na fotele.

- Miły, pocziwy "Okręt" - powiedział Wadim. - Jak tu dobrze, jak czysto...

Anton leżał z zamkniętymi oczami.

- Boli cię? - spytał.
- Swędzi...
- Jak swędzi, to w porządku... Słuchaj, czego potrzebujesz do pracy?

- Komputera - odpowiedział Wadim. - Połowy pamięci. Obu analizatorów. Jak najwięcej kawy i jakiegoś smacznego jedzenia dla "języka". Za dwie godziny będzie już tu siedział przy stole i gawędził z tobą o sensie życia.

Z dołu doleciał ryk, odgłosy szamotaniny i człapania bosych nóg.

- Dokąd? - wrzasnął Saul. - Na miejsce... Chodź no tu!
- Zdrowo go myje - powiedział Wadim z szacunkiem. - Na pewno mydło dostało mu się do oka...

Ale intonacje Saul ma nie takie jak trzeba. Cały ten krzyk nieszczęsny "język" odbiera jako błagalny szept. Ton rozkazu natomiast jest taki - Wadim, wyciągnąwszy szyję, lamentujące i przeraźliwie zapiszczał.

- Ktoś nadepnął kociakowi na głowę - stwierdził Anton.
- O właśnie!
- No dobrze, zajmiesz sterownicę... Ja wszystko przyniosę.

Wadim popatrzył na niego z uwagą.

- Antonie, przyjacielu, przecież wyżeło cię jak cytrynę.
- Trochę... Ranę masz niezbyt groźną, ale zmęczyłem się. Czy wiesz, jaka to harówka?
- Kładź się spać, sam sobie poradzę. A Saul mi wszystko przyniesie.

- Dobra - powiedział Anton. - To już mój kłopot. Idźże - machnął ręką. - Przygotuj się.

Wadim podniósł się.

- Mimo wszystko radzę ci pospać - powiedział idąc do sterowni. Nagle zatrzymał się. - A czy wzięli odzież?

Z początku Anton nie zrozumiał, a potem odrzekł:

- Prawdę mówiąc nie mam pojęcia... Nie pamiętam. Ale byli z nas bardzo niezadowoleni.

- Co za galimatias - jęknął Wadim. - Niczego nie pojmuję. Za co on mnie mieczem.

Pokręcił głową i poszedł do sterowni. Anton od razu zapadł w drzemkę. Przyśniło mu się, że poszedł do kuchni, zaparzył mnóstwo kawy, przyniósł do sterowni dzbanek i konserwy, a Wadim był zajęty i coś mu tam odburknął, więc Anton poszedł do swojej kajuty, usiadł przy stole, aby przygotować program powrotu, ale bardzo mu się chciało spać i przez cały czas trafiały mu się stare programy z poprzednich rejsów. Potem obudził go Saul.

- Proszę - powiedział Saul.

Przed Antonem stał zgrabny chłopak o jasnej twarzy, ubrany w krótkie spodenki i tetrakanetylenową kurtkę, czarnooki i mocno wystraszony.

- Śliczny, prawda? - spytał kpiąco Saul.

Anton roześmiał się.

- Piękna rasa - odpowiedział. - Witaj, młodszy bracie.

Młodszy brat patrzył na niego okrągłymi ze strachu oczami. Ale fajny chłopak! pomyślał Anton.

- A to miał pod futrem - powiedział Saul i położył na stole twardą paczuszkę.

Jeniec zrobił ruch w jej kierunku.

- No! - groźnie powiedział Saul. - Znowu? Już ja ci!

Jeniec skulił się. Widocznie intonacje Saula przyswoił już wystarczająco. Anton sięgnął po pakiet, obejrzał go i otworzył. W kopercie z dobrze wyprawionej skóry leżał wymyślnie złożony arkusz papieru, jakiś schemat na osobnej kartce i kilka kawałków zakrwawionego tamponu.

- Rozumiecie? - powiedział Saul. - Zdarli to z rannych.

Anton przypomniał sobie okaleczonych ludzi w szeregu i zacisnął zęby.

- To z pewnością meldunek - oświadczył po chwili milczenia. - O naszym pojawieniu się. Wadimie!
- zawołał.

Nagle jeniec przemówił. Mówił szybko, bijąc się dłońmi w piersi, ha jego twarzy malowały się przerażenie i rozpacz, co dziwnie kontrastowało z ostrym i nawet jakby drwiącym brzmieniem głosu. Do sali zszedł Wadim i stanął za plecami jeńca przysłuchując się. Jeniec zamilkł i zasłonił twarz rękami.

- Popatrz no, Wadimie - powiedział Anton podając mu kartkę.

- O! - rzekł Wadim. - List! Ależ to cudownie! O połowę mniej pracy!

Wziął jeńca za rękaw i poprowadził do sterowni, oglądając po drodze kartkę. Jeniec pokornie włókł się za nim. Saul uważnie studiował schemat.

- Nie jestem specjalistą - oświadczył - ale moim zdaniem to jest dokładny rysunek wnętrza tamtego czołgu. Pamięta pan, w wykopie?

Rzucił rysunek Anionowi. Plan wnętrza czołgu sporządzono niebieską farbą, bardzo starannie, ale

na papierze widać było mnóstwo śladów brudnych palców. Był to plan kabiny-durszlaka - najwyraźniej bardzo dokładny plan. Niektóre otwory oznaczono niechlujnie wymalowanymi krzyżykami, niektóre po prostu przekreślono. Anton ziewnął i przetarł oczy. No cóż, pomyślał ospale, właściciele niewolników sporządzają doskonale schematy.

- Niech pan posłucha, kapitanie - powiedział Saul - proszę iść spać. I tak dopóki nasz lingwista nie skończy, nie tu po panu.

- Tak pan myśli?

- Jestem pewien.

Głos Wadima zażądał ze sterowni:

- Kawy i puszkę konfitur.

- Zaraz - krzyknął Saul. - Niechże pan już idzie, Antonie ponaglał.

- Nigdzie nie pójde - mruknął Anton. - Zostaję tutaj.

Zamknął oczy i zaprzestał oporu. Spał niespokojnie, często się budził i otwierał oczy. Widział, jak na palcach przemyka się Saul - w jednej ręce miał pustą puszkę, a w drugiej dzbanek. Następnym razem Saul przeszedł do sterowni z zastawioną tacą i w mesie zapachniało pomidorami. Potem Saul znalazł się nagle przy stole. W zadumie ssał pustą fajkę i z uwagą przyglądał się Antonowi. Z góry ze sterowni dolatywały monotonne głosy. "Su-u... Mu-u... Bu-u..." mówił Wadim i mechaniczny głos powtarzał: "Su-u... Mu-u... Bu-u... Pracować - ka-ro-su-u... Robotnik - ka-ro-bu... Zostać robotnikiem - ka-ro-mu-u..." Sen napływał i znowu odpływał. Głos Wadima recytował niezrozumiale: "Lśniący... Wielki i Potężny Głaz... idai-chikari... tika-u-do...", a jazgotliwy głos jeńca poprawiał: "Tikoo... udoo..." Wadim krzyczał: "Saulu! Kawy!" - "Trzeci dzbanek", gderał niezadowolony Saul.

Potem Anton zbudził się i poczuł, że już nie chce spać. Saula w mesie nie było. Na górze Wadim porządnie ochryplym głosem wymawiał starannie: "Sorinaka-bu... torunaka-bu... saponuri-su..." Jeniec coś pomrukiwał basem w odpowiedzi. Anton spojrzał na zegarek. Była trzecia rano czasu miejscowego. No, zuch z tego najstrukturalniejszego, pomyślał Anton z szacunkiem. Raptem ogarnęło go zniecierpliwienie. Trzeba było kończyć.

- Dimka! - krzyknął. - Jak ci idzie?

- Obudziłeś się? - zachrypiał Wadim. - Czekamy tylko na ciebie. Zaraz schodzimy.

Z kajuty wysunęła się głowa Saula.

- Już? - poinformował się. Zza uchylonych drzwi walił dym.

- Proszę wejść, panie Saulu - powiedział Anton. - Zaraz zaczynamy.

Saul usiadł w fotelu i rzucił schemat na stół. Ze sterowni zszedł na dół jeniec. Chwiał się lekko na nogach. Policzki miał umazane konfiturami. Nie zwracając na nikogo uwagi, zatrzymał się i zaczął patrzeć w górę z wyrazem psiego oddania w oczach. Z góry schodził już Wadim, trzymając oburącz wielką, błyszczącą skrzynię - przystawke-analizator. Podeszedł do stołu, postawił analizator i osunął się bezwładnie na fotel. Na jego twarzy malował się triumf.

- Jestem genialny! - zakomunikował ochryplym głosem. - Mą-dra-la! Wielki Potężny Głaz! Chikari-tiko-udo!

Przy ostatnich słowach jeniec przestał oblizywać palce i z szacunkiem złożył ręce przed piersią.

- He? - wrzasnął Wadim, wyciągając doń rękę. Potem oświadczył:

Gdy na statku coś się zdarzy,

Starczy mi jedyny ruch:

Wskrzеси uśmiech na twojej twarzy

Najstrukturalniejszy zuch.

Anton z zadowoleniem popatrzył na niego. Na skroniach Wadima sterczały żółte różki mnemokryształów. Jeńcowi także sterczały żółte różki. Obaj mieli w sobie coś z dobrodusznymi młodymi biesów. Zresztą jeńiec był bardziej podobny do cielaka. Saul również uśmiechał się ssąc fajkę.

- Uprzedzam - ogłosił Wadim. - Abstrakcyjnych pytań zadawać mu nie warto. Głęb jakich mało. Wykształcenie - dwie klasy. - Wstał i podał Antonowi i Saulowi po parze mnemokryształów. - Myśli wyłącznie konkretnie. - Zwrócił się do jeńca:

- Ringa chosi-mu?

“Chcesz konfitury?” - zrozumiał Anton.

“Język” uśmiechnął się przymilnie i znowu złożył ręce przed piersią.

- No widzicie? - powiedział Wadim. - Znowu chce konfitur. Ale zaczeka. Możemy zaczynać.

Anton zawahał się. Nagle uprzytomnił sobie, że nie ma zielonego pojęcia, jak się to robi. Wadim i Saul wyczekująco patrzyli na niego. Jeńiec smętnie przestępował z nogi na nogę.

- Jak pan ma na imię? - spytał Anton z niezwykłą łagodnością. Nie podobało mu się, że jeńiec do tej pory czuje się niepewnie i najwyraźniej boi się.

Jeńiec spojrział na niego ze zdumieniem.

- Chajra - odrzekł i stanął nieruchomo.

“Z rodu wzgórz” - zrozumiał Anton.

- Bardzo mi miło - powiedział. - Ja mam na imię Anton.

Wyraz zaskoczenia na fizjonomii Chajry pogłębiał się.

- Proszę powiedzieć, panie Chajro, w jakim charakterze pan pracuje?

- Nie pracuję. Jestem wojownikiem.

- Widzi pan - rzekł Anton - z pewnością jest pan obrażony z powodu gwałtu, do jakiego byliśmy zmuszeni uciec się w stosunku do pana. Ale nie powinien pan żywić do nas urazy. Doprawdy nie mieliśmy innego wyjścia.

Jeńiec podparł się ręką pod bok, wydał dolną wargę i zaczął patrzeć w przestrzeń obok Antona. Saul donośnie zakasłał i zaczął bębnić palcami po stole.

- Nie powinien się pan niczego obawiać - kontynuował Anton. - Nie zrobimy panu nic złego.

Na twarzy jeńca wyraźnie zarysowała się wyniosłość. Obejrzał się, odszedł dwa kroki w bok i usiadł na skrzyżowanych nogach na podłodze, bokiem do Antona. Oswaja się, pomyślał Anton. To dobrze. Wadim rozwalony w fotelu spoglądał na to wszystko z satysfakcją. Saul przestał bębnić palcami i zaczął postukiwać w stół fajką.

- Chcemy jedynie zadać panu kilka pytań - kontynuował z werwą Anton - ponieważ koniecznie

musimy dowiedzieć się, co tu się dzieje.

- Konfitur - nieprzyjemnym głosem przemówił Chajra. - I to szybko.

Wadim roześmiał się z zadowoleniem.

- Such a little pig!*[ale prosię] - powiedział.

Anton zarumienił się i spojrzał na Saula. Saul powoli wstawał. Twarz miał nieruchomą i znudzoną.

- Dlaczego nie przynoszą konfitur? - rzucił Chajra w przestrzeń. - I niech wszyscy milczą, dopóki ja będę pytał. I niech przyniosą konfitur i koldry, bo jest mi twardo siedzieć.

Zapanowało milczenie. Wadim przestał się uśmiechać i z powątpiewaniem popatrzył na analizator.

- Do you think - zapytał mocno speszony Anton - we should better bring him some jam?*[Czy nie sądzicie, że byłoby lepiej, gdybyśmy mu przynieśli trochę dżemu?]

Saul nie odpowiedział. Powoli zbliżył się do jeńca. Jeniec siedział z kamienną twarzą. Saul odwrócił się do Antona.

- You have taken a wrong way, boys - stwierdził. - It won't pay with SS-men.* *[Obraliście niewłaściwy sposób, chłopcy. To nie wyjdzie z esesmanami.] - Jego ręka miękko opadła na szyję Chajry. Po twarzy Chajry przemknęło zaniepokojenie - He is a pithecanthrope, that's what he is - powiedział łagodnie Saul. - He mistakes your soft handling for a kind of weakness.*[To pitekantrop, ot co. Bierze wasze łagodne traktowanie za rodzaj słabości.]

- Saulu, Saulu - powiedział Anton zatrwożony.

- Speak only English!*[Niech pan mówi tylko po angielsku.] - szybko uprzedził Saul.

- Gdzie konfitury? - spytał niepewnie jeniec.

Saul potężnym szarpnięciem poderwał go na nogi. Na kamiennym obliczu Chajry zarysował się niepokój. Saul powolnym krokiem obszedł przesłuchiwanego dookoła, oglądając od stóp do głów. Ale widoczek, pomyślał Anton z mimowolnym strachem i obrzydzeniem. Saul wyglądał niezachęcająco. Za to Chajra złożył ręce na piersi i uśmiechał się przymilnie, Saul bez pośpiechu wrócił na swój fotel i usiadł. Chajra patrzył teraz wyłącznie na niego. W mesie panowała martwa cisza.

Saul zaczął nabijać fajkę, od czasu do czasu spoglądając na Chajrę spode łba.

- Now I interrogate*[Teraz ja przesłuchuje.] - oświadczył - and you don't interfere. If you choose to talk to me, speak English.*[A wy nie wtrącajcie się. Jeśli zechcecie coś do mnie powiedzieć, to mówcie po angielsku.]

- Agreed?*[Zgoda] - powiedział Wadim i coś przełączył w analizatorze. Anton skinął głową.

- What did you do to that box?*[Co pan zrobił z tą skrzynką?] - podejrzliwie zapytał Saul.

- Took measures - odpowiedział Wadim. - We don't need him to learn English as well, do we?*[Małe zabezpieczenie. Przecież nie chcemy, żeby nauczył się również angielskiego. Nieprawdaz?]

- Okay - powiedział Saul. Zapalił fajkę. Uchylając się od kłębow dymu, Chajra patrzył na niego z przerażeniem.

- Imię? - ponuro spytał Saul. Jeniec drgnął i przygarbił się cały.

- Chajra.

- Stanowisko?

- Nosiciel kopii. Strażnik.

- Kto jest naczelnikiem?
- Kadajra. ("Z rodu wichrów" - zrozumiał Anton).
- Stopień naczelnika?
- Nosiciel świętego miecza. Naczelnik straży.
- Ilu jest strażników w obozie?
- Dwie dziesiątki.
- Ile jest ludzi w chałupach?
- W chałupach nie ma ludzi.

Anton i Wadim wymienili spojrzenia. Saul beznamiętnie kontynuował.

- Kto mieszka w chatach?
- Przestępcy.
- A przestępcy to nie ludzie?

Na twarzy Chajry odmalowało się szczere zdumienie. Zamiast odpowiedzi niepewnie się uśmiechnął.

- Dobra. Ilu jest przestępców w obozie?
- Bardzo dużo. Nikt nie liczy.
- Kto przysłał tutaj przestępców?

Jeniec mówił długo i z wielkim zaangażowaniem, ale Anton usłyszał tylko:

- Ich przysłał Wielki i Potężny Głaz, Płomienny Grom z Nogą w Chmurach, Żyjący Dopóki Nie Znikną Maszyny.

- Oho - zdziwił się Saul - to oni znają słowo "maszyny"?

- Nie - odezwał się Wadim. - To ja znam słowo "maszyny". Chodzi o maszyny w wykopie i na szosie. Wielki i tak dalej to prawdopodobnie miejscowy władca.

Jeniec słuchał tego dialogu z grymasem tępej rozpacz.

- No dobra - powiedział Saul. - Lecimy dalej. Czego są winni przestępcy?

Jeniec ożywił się i znowu zaczął mówić długo i dużo i Anton znowu niewiele mógł z tego zrozumieć.

- Są przestępcy, którzy pragnęli zmienić Głaza... Są przestępcy, którzy brali cudze rzeczy... Są przestępcy, którzy zabijali ludzi... Są przestępcy, którzy pragnęli dziwnego...

- Rozumiem. Kto przysłał tu strażników?
- Wielki i Potężny Głaz z Nogami na Ziemi.
- Po co?

Jeniec milczał.

- Pytam, co tu robi straż?

Jeniec milczał. Nawet zamknął oczy. Saul wściekle zasapał.

- Tak?! Co robią przestępcy?

Jeniec pokręcił głową, nie otwierając oczu.

- Mów! - ryknął Saul tak, że Anton aż się wzdrygnął. Komisjo do Spraw Kontaktów, pomyślał strapiony, gdzie jesteś?

Jeniec wyznał płaczliwie:

- Zabiją mnie, jeśli powiem.

- Zabiją cię, jeśli nie powiesz - obiecał Saul. Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i otworzył go. Jeniec zadrżał.

- Saulu! - powiedział Anton. - Stop it.*[* Niech pan przestanie.]

Saul zaczął czyścić scyzorykiem fajkę.

- Stop what?[* Co mam przestać robić?] - poinformował się.

- Przesłupcy zmuszają maszyny do poruszania się - ledwie dosłyszalnie przemówił Chajra. - Strażnicy patrzą.

- Na co patrzą?

- Jak maszyny poruszają się.

Saul wziął schemat i podsunął jeńcowi pod nos.

- Mów wszystko - przykazał.

Chajra opowiadał długo i zawile, Saul popędzał go i poprawiał. Najwidoczniej wszystko sprowadzało się do tego, że miejscowe władze usiłowały opanować umiejętność kierowania maszynami. Stosowano przy tym iście barbarzyńskie metody. Przesłupców zmuszano do wtykania palców w otwory, do naciskania guzików i klawiszy, do grzebania we wnętrzach silników i obserwowano, co się wtedy dzieje. Najczęściej nie działało się nic. Często maszyny wylatywały w powietrze. Rzadziej zaczynały poruszać się, miażdżąc i kalecząc wszystkich wokół. I tylko bardzo rzadko udawało się zmusić maszyny do uporządkowanego ruchu. Podczas pracy strażnicy trzymali się z daleka od wypróbowywanej maszyny, a przesłupcy biegali od nich do maszyny i z powrotem, komunikując, w jaką dziurę zostanie wsunięty palec, albo jaki guzik zostanie naciśnięty. Wszystko to starannie nanoszono na schematy.

- Kto wykonuje schematy?

- Nie wiem.

- Wierzę. Kto przywozi schematy?

- Wielcy naczelnicy na ptakach.

- On ma na myśli nasze znajome ptaszki - wyjaśnił Wadim. - Prawdopodobnie tutaj oswajane.

- Komu są potrzebne maszyny?

- Wielkiemu Potężnemu Głazowi, Płomiennemu Gromowi z Nogą w Niebie, Żyjącemu Dopóki Nie

Znikną Maszyny.

- Co on robi z maszynami?

- Kto?

- Głaz.

Na twarzy jeńca pojawił się niepokój.

- Przecież to stanowisko, panie Saulu - przypomniał Wadim. - Obowiązuje pełny tytuł.

- Dobrze. Co robi z maszynami Wielki i Potężny Głaz, z Nogą w Niebie... albo na Ziemi? Tfu, do diabła, nie pamiętam... Żyjący Dopóki... to...

- Dopóki Nie Znikną Maszyny - podpowiedział Wadim.

- Jakież niedorzeczności - wybuchnął gniewem Saul. - Co mają z tym wspólnego maszyny?

- To tytuł - wyjaśnił Wadim. - Symbol wieczności.
- Niech pan posłucha, Wadimie. Proszę go zapytać, co on robi z maszynami.
- Kto?
- No, ten Głaz, niech go diabli porwą.
- Niech pan mówi po prostu: Wielki i Potężny Głaz - doradził Wadim.

Saul odsapnął i położył fajkę na stole.

- A więc, co robi z maszynami Wielki i Potężny Głaz?
- Nikt nie wie, co robi Wielki i Potężny Głaz - odparł z godnością Jeniec.

Anton nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. Wadim śmiał się, wczepiony konwulsyjnie w poręczę.

Jeniec patrzył na nich ze strachem.

- Skąd przywozi się schematy?
- Spoza gór.
- Co jest za górami?
- Świat.
- Ilu jest ludzi na świecie?
- Bardzo dużo. Nie sposób zliczyć.
- Kto przyprawia maszyny?
- Przestępcy.
- Skąd?
- Z twardej drogi. Tam dużo maszyn. - Jeniec pomyślał i dodał: - Nie sposób zliczyć.
- Kto robi maszyny?

Chajra uśmiechnął się ze zdumieniem.

- Maszyn nikt nie robi. Maszyny są.
- Skąd się wzięły?

Chajra wygłosił mowę. Tarł twarz, głaskał się po bokach i spoglądał na sufit. Przewracał oczami i chwilami wręcz śpiewał. W przybliżeniu wyszło mu co następuje.

Dawno, dawno temu, kiedy nikt się jeszcze nie urodził, z czerwonego księżyca spadły olbrzymie skrzynie. W skrzyniach była woda. Tłusta i lepka jak konfitury. Ciemnoczerwona jak konfitury. Najpierw woda zrobiła miasto. Potem zrobiła w ziemi dwie dziury i wypełniła je dymem śmierci. Potem woda stała się twardą drogą między dziurami, a z dymu zrodziły się maszyny. Od tej pory jeden dym rodzi maszyny, drugi dym pochłania je i tak będzie zawsze.

- No, to i bez ciebie wiemy - burknął Saul. - A jeśli przestępcy nie chcą poruszać maszyn?
- Zabijają ich.
- Kto?
- Strażnicy.
- Ty też zabijałeś?
- Zabiłem trzech - odrzekł z dumą Chajra.

Anton zamknął oczy. Chłopiec, pomyślał. Fajny, sympatyczny chłopiec. I mówi o tym z dumą...

- W jaki sposób ich zabijałeś?

- Jednego zabiłem mieczem. Pokazywałem naczelnikowi, że mogę rozrąbać ciało jednym ciosem. Teraz wie, że mogę. Drugiego zabiłem pięścią. A trzeciego rozkazałem rzucić mi na kopię.

- Komu rozkazałeś?

- Innym przestępcom.

Przez pewien czas Saul milczał.

- Nudno - powiedział jeniec. - Służba zaszczytna, ale nudna. Nie ma kobiety. Nie ma mądrych rozmów. Nudno - powtórzył i westchnął.

- Dlaczego przestępcy nie uciekają?

- Uciekają. Niech uciekają. Na równinie śnieg i ptaki. W górach straż. Mądrzy nie uciekają.

Wszyscy chcą żyć.

- Dlaczego niektórzy mają złote paznokcie?

Jeniec odpowiedział szeptem:

- To byli bardzo bogaci ludzie. Ale pragnęli dziwnego, a niektórzy nawet usiłowali zmienić Głaza. Oni są obrzydliwi jak padlina - powiedział głośno. - Wielki i Potężny Głaz, Płomienny Grom przysłała ich tutaj ze wszystkimi krewnymi. Prócz kobiet - dodał z żalem.

- Wiecie co - powiedział Saul - mam ogromną ochotę, aby powiesić najpierw jego, a potem wszystkich pozostałych nosicieli mieczy i kopii na tej równinie. Ale byłoby to, niestety, bezcelowe. - Znowu nabił fajkę. - Nie mam więcej pytań. Pytajcie wy, jeśli chcecie.

- Nas nie wolno wieszać - szybko powiedział poblady Chajra. - Wielki i Potężny Głaz, z Nogą na Niebie, okrutnie was ukarze.

- Mam gdzieś twojego Wielkiego i Potężnego - powiedział Saul zapalając fajkę. Palce mu drżały. - Będziecie jeszcze pytać czy nie?

Anton pokręcił przecząco głową. Nigdy w życiu nie czuł takiego obrzydzenia. Wadim podszedł do Chajry i zerwał z jego skroni mnemokryształ.

- Co robimy? - spytał.

- Taki jest człowiek - powiedział w zadumie Saul. - Na drodze do was musi przejść przez to wszystko i jeszcze przez wiele innych rzeczy. Jak długo pozostanie zwierzęciem, mimo że stanie na tylnych łapach i weźmie do rąk narzędzia pracy? Tych jeszcze można usprawiedliwić, nie mają zielonego pojęcia o wolności, równości i braterstwie. Wszystko przed nimi. Jeszcze będą ratować cywilizację komorami gazowymi. Kiedyś staną się mieszczanami i doprowadzą swój świat na skraj przepaści. Ale mimo wszystko jestem zadowolony. W tym świecie panuje średniowiecze, to zupełnie oczywiste. Tytułomania, pompatyczne przemowy, złocone paznokcie, ciemnota... Ale już teraz są tutaj ludzie, którzy pragną dziwnego. Jakie to piękne - człowiek, który pragnie dziwnego! I tego człowieka, oczywiście, boją się. Ten człowiek również ma przed sobą długą drogę. Będą go palić na stosach, krzyżować, wsadzać za kraty, potem za drut kolczasty... Tak. - Zamilkł nagle. - A jakie to przedsięwzięcie! zawołał po chwili. - Opanować maszyny, nie mając najmniejszego pojęcia o maszynach! Wyobrażacie sobie! Jaki śmiały umysł! Teraz, niewątpliwie, wsadzono by go do obozu. Teraz wszystko jest rutyną, czymś w rodzaju obrzędu na cześć potężnych przodków... i nikt, zapewne, nie wie i wiedzieć nie chce, po co to wszystko potrzebne. Chyba że jest pretekstem do tworzenia obozu śmierci. A kiedyś to była idea...

Zamilkł i zaczął intensywnie pykać z fajki. Anton powiedział:

- Po co tak posepnie, Saulu. Oni wcale nie muszą przechodzić przez komory gazowe i inne okropności. Przecież my już tutaj jesteśmy.

- My! - Saul uśmiechnął się. - Co my możemy zrobić? Oto jest nas tu trzech i wszyscy chcemy czynnie tworzyć dobro. A cóż możemy? Tak, oczywiście, możemy pójść do Wielkiego i Potężnego Głaza jako parlamentariusze rozumu z bożej łaski i poprosić go, aby wyrzekł się niewolnictwa i dał ludowi wolność. Wezmą nas za portki i wrzucą do wykopu. Można również nałożyć białe chlamidy i ruszyć w lud. Pan, Antonie, będzie Chrystusem, Wadim apostołem, a ja, oczywiście, Tomaszem. I zaczniemy głosić socjalizm i może nawet dokonamy kilku cudów. Coś w rodzaju transportu zerowego. Tutejsi faryzeusze wbiją nas na pal, a ludzie, których chcieliśmy ocalić, pokrzykując obrzucają nas kałem... - Wstał i przeszedł się dookoła stołu. - Prawda, mamy skorczer. Możemy, na przykład, wybić strażę, ustawić nagich w kolumnę i przedrzeć się przez góry, spalić suwerenów i wasali razem z ich zamkami i napuszonymi tytułami, i wtedy miasta faryzeuszy zamienią się w pochodnie, a nas rozniosą na kopych, albo, co bardziej prawdopodobne, zarzną w ciemnym kącie, a w kraju zapanuje chaos, z którego wypłyną jacyś saduceusze. Oto co możemy.

Usiadł. Anton i Wadim uśmiechali się.

- Nas wcale nie jest trzech - powiedział Anton. - Nas, drogi Saulu, jest dwadzieścia miliardów. Z pewnością ze dwadzieścia razy więcej niż na tej planecie.

- No i co z tego? - odparł Saul. - Czy rozumiecie, co chcecie uczynić? Chcecie naruszyć prawa rozwoju społecznego! Chcecie zmienić naturalny bieg historii! A czy wiecie, co to jest historia? To sama ludzkość! I niepodobna złamać kręgosłupa historii, nie łamiąc kręgosłupa samej ludzkości.

- Nikt nikomu nie zamierza łamać kręgosłupa - zaoponował Wadim. - Były czasy, kiedy całe plemiona i państwa naturalnym biegiem historii przechodziły prosto z feudalizmu do socjalizmu. I żadnych kręgosłupów przy tym nie łamano. Czyżby pan bał się wojny? Wojny nie będzie. Dwa miliony ochotników, piękne miasto ze wszystkimi wygodami, bramy otwarte na oścież, serdecznie zapraszamy! Oto macie lekarzy, nauczycieli, inżynierów, uczonych, artystów... Chcecie żyć jak my? Oczywiście! I my tego chcemy! Garstka śmierdzących feudałów przeciw komunistycznej kolonii - tfu! Naturalnie, to się stanie nie od razu. Trzeba będzie popracować przynajmniej pięć lat...

- Pięć! - rzucił z goryczą Saul, podnosząc ręce do sufitu. - A pięciuset pięćdziesięciu pięciu nie chcecie? Też mi się znaleźli krzewiciele oświaty! Judymowie i Siłaczki! Przecież to jest planeta, rozumiecie? Nie plemię, nie naród, nawet nie kraj - planeta! Cała planeta ciemnoty, grzęzawisko! Artyści! Uczni! A co będziecie robić, kiedy trzeba będzie strzelać? A będzie trzeba, Wadimie, kiedy pańską przyjaciółkę - nauczycielkę ukrzyżują brudni mnisi... A i pana, Antonie, zmuszą do strzelania, kiedy pańskiego przyjaciela-lekarza zatłuką na śmierć pałkami zuchy w rdzawych hełmach! A wówczas rozbestwicie się i z kolonistów przeobrazicie się w kolonizatorów...

- Pesymizm - wtrącił Wadim - jest to posepne odczucie rzeczywistości, przy którym człowiek ma skłonność do widzenia we wszystkim stron złych, nieprzyjemnych.

Saul przez kilka sekund patrzył na niego dziwnym wzrokiem.

- Niech pan nie żartuje - powiedział wreszcie. - To nie są żarty. Komunizm - to przede wszystkim idea! I to idea nieprosta. Za nią płacono krwią! Nie da się jej nauczyć w ciągu pięciu lat na przykładach

poglądowych. Obsypiecie bogactwem niewolnika z dziada pradziada, urodzonego egoistę. I wiecie, co z tego wyjdzie? Albo wasza kolonia przekształci się w niańkę dla spasionych wałkoni pozbawionych najmniejszego bodźca do działania, albo znajdzie się energiczny drań, który za pomocą waszych własnych gliderów, skorczerów i wszelkich innych środków przegoni was z tej planety, a całe bogactwo zgarnie pod własne siedzenie i historia mimo wszystko pójdzie swoją naturalną drogą.

Saul odrzucił szarpnięciem pokrywę zsypu i zaczął z wściekłością wytrząsać fajkę.

- Nie, moi drodzy. Komunizm trzeba opłacić cierpieniem. O komunizm należy walczyć z nim - wskazał fajką w stronę Chajry - ze zwyczajnym prostakiem. Walczyć z nim, kiedy ma kopię, walczyć, kiedy ma muszkiet, walczyć, kiedy ma szmajser i rogaty hełm. I to jeszcze nie wszystko. Kiedy rzuci szmajser, padnie plackiem w błoto i zacznie czołgać się przed wami - oto kiedy rozpocznie się najprawdziwsza walka! Nie o kawałek chleba, lecz o komunizm! Wy go z tego błota podniesiecie, wymyjecie... - zamilkł i odchylił się do tyłu na oparcie fotela.

Wadim w zadumie drapał się po głowie.

Anton powiedział:

- Pan wie lepiej, pan jest historykiem. Oczywiście wszystko to będzie bardzo trudne. Wadim tu plótl, jak zwykle, bzdury bez zastanowienia. Ani we dwóch z Wadimem, ani we trzech z panem nigdy nie rozwiążemy tego problemu - nawet teoretycznie. Ale wiemy jedno: nie było jeszcze takiego wypadku, aby ludzkość postawiła sobie zadanie i nie potrafiła go rozwiązać.

Saul mruknął coś niezrozumiale.

- Jak to będzie wyglądać w praktyce... - Anton wzruszył ramionami. - Cóż, jeśli trzeba będzie strzelać, przypomnimy sobie, jak to się robi, i będziemy strzelać. Tylko że według mnie obędzie się bez strzelaniny. Zaprosimy, na przykład, tych pragnących dziwnego na Ziemię. Zaczniemy od nich. Z pewnością zechcą stąd wyjechać...

Saul szybko podniósł wzrok na Antona i znowu opuścił oczy.

- Nie - powiedział - tylko nie tak. Prawdziwy człowiek wyjechać nie zechce. A nieprawdziwy... - Znowu podniósł oczy i popatrzył Antonowi prosto w twarz. - A nieprawdziwy nie ma nic do roboty na Ziemi. Komu taki jest potrzebny - dezterter w komunizm?

Zapadła niezręczna cisza. Amonowi zrobiło się okropnie żal Saula i ogarnął go straszliwy niepokój o niego. Saula niewątpliwie dotknęło jakieś nieszczęście. I to bardzo złożone nieszczęście, z pewnością równie niezwykle jak on sam, jak jego słowa i czyny.

Wadim zawołał z udanym ożywieniem:

- A propos... Zapomnieliśmy o czymś! Za co mnie dźgnęli mieczem ci nieszczęśnicy? To trzeba wyjaśnić!

Podbiegł do Chajry, pod którym nogi ugiwały się ze zmęczenia i od złych przeczuć i ponownie umocował mu na skroni różki mnemokryształów.

- Słuchaj no, pitekantropie - powiedział. - Dlaczego przestępcy, którzy cię wieźli, napadli na nas? Tak bardzo cię kochają?

Chajra odpowiedział:

- Wedle rozkazu Wielkiego i Potężnego Głazu, Płomiennego Gromu Z Nogą W Niebie, Żyjącego

Dopóki Nie Znikną Maszyny, przestępcy muszą tu pozostać, dopóki nie znikną maszyny...

- Czyli na zawsze - wyjaśnił Wadim.

- ... ale jeśli przestępca zrobi tak, żeby maszyna poruszała się, otrzymuje łaskę i wraca za góry. Ci, którzy mnie wieźli, szli do domu. Byli już niemal ludźmi. Na strażnicy miałem ich wypuścić i przesiąść się na ptaka. Ale nie zdołali mnie uchronić, chociaż chcieli, bo każdy chce żyć. A teraz ich zakłują. - Ziewnął nerwowo i dodał: - Jeśli słońce weszło, to już ich zakłuli.

Anton zerwał się na nogi, przewracając fotel.

- O Boże - jęknął Saul i upuścił fajkę.

Rozdział 7

Nosiciela kopii z rodu wzgórz posadzono między Saulem i Antonem. Znowu był ubrany w swoje futro, które pachniało teraz dezynsektalem, i siedział cicho, niespokojnie poruszając krótkim nosem: węszył. Była piąta rano, zapalała się blada, lodowata zorza. I było bardzo zimno.

Wadim w milczeniu prowadził glider z maksymalną prędkością i myślał wyłącznie o jednym: zdążymy, czy nie zdążymy? Żeby chociaż ci biedacy nie zdecydowali się na natychmiastowy powrót do osiedla. Ale rozumiał, że nie mieli gdzie się podziać. To była ich jedyna szansa ratunku - przekonać naczelnika straży opowiadaniem o tym, jak bohaterstwo bronili jego wysłannika. Ten gruby bydlak wykończy ich od razu, z goryczą myślał Wadim. Jeśli nie zdążymy. Wyobraził sobie, jak postawią Chajrę przed tłustym nosicielem świetnego miecza i on, Wadim powie: Kajra-me sorinata-mu karo-sika! - oto wasz człowiek! - a potem piskliwie i żałośnie wrzaśnie: Tatimata-ne kori-su - nie waż się zabijać tych wolnych! Przez cały czas powtarzał sobie w myśli te zdania, aż w końcu straciły dlań wszelki sens. Sprawa nie jest prosta. Może wypadnie prowadzić długą rozmowę. A wątpliwe, by nosiciel miecza zechciał dobrowolnie przymocować do swej nie mytej, naczelnikowskiej głowy mnemokryształ. Wadim spojrzał z ukosa na błyszczącą skrzynkę analizatora. Trzeba go będzie przytemperować. Przecież nie na darmo wlokłem te dwadzieścia cztery kilogramy z mesy do glidera.

Anton zapytał:

- A co było w meldunku?

Wadim wyjął z kieszeni zmiętą kartkę i nie odwracając się podał mu przez ramię.

- Trochę podredagowałem - powiedział. - Przekład ołówkiem między wierszami.

Anton wziął kartkę i zaczął czytać półgłosem:

- "Do Promiennego Koła w Złoty Futrach, Nosiciela Groźnej Strzały, Sługi pod Samym Siedzeniem Wielkiego i Potężnego Głazu, Płomiennego Gromu z Nogą w Niebie, Żyjącego Dopóki Nie Znikną Maszyny, do samych stóp składa ten raport nędzny strażnik z rodu wichrów, nosiciel świetnego miecza. Donoszę po pierwsze: wielką maszynę «wojownik-kopuła» poruszył palec w otworze piątym i palec w otworze czterdziestym siódmym, a jej ruch był niepowstrzymany, szybki i prosty. Donoszę po drugie: pojawiło się trzech na niebywałej maszynie, nie znających mowy, nie noszących broni, nie rozumiejących prawa i pragnących dziwnego. Nie znając ich natury, pozostają w oczekiwaniu wysokich rozkazów. Donoszę po trzecie: węgiel się kończy, a palić trupami wedle pańskiego miłościwego słowa przez głupotę naszą i niewiedzę nie potrafimy. Przy tym dołączam: po pierwsze - rysunek techniczny wielkiej maszyny «wojownik-kopuła» i po drugie - wzory materii przyklejonej przez nieznaną ludzi do ran przestępców." Tak, nic nowego - stwierdził Anton.

- Feudalizm najczystszej wody - podsumował Saul. - Nie cackajcie się z nimi zbyt, bo nadzieją was na kopie.

Nikt nie chce się cackać, pomyślał Wadim. I oczywiście nie z powodu kopii. Jeniec zaczął się nagle wiercić na swym miejscu i grubym, niskim basem przymilnie poprosił:

- Ringa...

- Sentu! - piskliwie krzyknął Wadim.

Jeniec zamarł w bezruchu.

- Znowu prosi o konfitury - wyjaśnił Wadim.

- Wytrzyma - powiedział Saul. - "Zreć i pić, w mordę bić..."

- To nic - oświadczył Wadim. - Przy nas jeszcze zapragnie dziwnego.

- Wadimie - poprosił Anton. - Daj no mi parę kryształów. Chcę z nim pogadać.

- W kieszeni z prawej - rzucił Wadim przez ramię.

- Słuchaj, Chajra - rzekł Anton. - Jeśli dostarczymy cię z powrotem do osiedla, czy twój naczelnik wypuści uwolnionych, którzy ciebie bronili?

- Tak - szybko odpowiedział Chajra. - A zawieziecie mnie?

- Oczywiście - obiecał Anton. - Przecież cię nie zabijemy.

Wadim popatrzył przez ramię. Chajra przybrał dumną postawę.

- Naczelnik jest srogi - przemówił. - Może ich nie uwolni i pośle z powrotem do wykopu. Ale wy możecie liczyć na jego łaskę. Może was nawet puści wolno, jeśli mu dacie cenne podarunki. Macie cenne podarunki?

- Mamy - odpowiedział Anton z roztargnieniem. - Wszystko mamy.

- Co on mówi? - mruknął Saul. - Wadimie, gdzie są moje kryształy? O, są.

- Może rzeczywiście trzeba będzie ich wykupić - odezwał się Anton w zamyśleniu. - Nie urządzimy przecież bijatyki... Wcale nie mam ochoty.

Chajra przemówił znowu, a jego głos był coraz bardziej twardy i piskliwy.

- A mnie dacie tę oto kurtkę. - Dźgnął palcem w kurtkę Saula. - I tę skrzynkę. - Wskazał analizator. - I wszystkie konfitury. I tak wam wszystko odbiorą, zanim wyślą do chałup. Słusznie postanowiliście, aby nie wdawać się w bijatykę. Nasze kopie są ostre i zazębione, a kiedy się je wyciąga, wywlekają z wroga wnętrzości. I jeszcze wezmę sobie te buty. I te również. Jako że wszystko między ziemią i niebem należy do Wielkiego i Potężnego... I to też wezmę.

Chajra umilkł zaaferowany. Wadim, którego to wszystko serdecznie bawiło, rozejrzał się. Anton ze skupieniem patrzył przez okno - widocznie w ogóle nie słuchał. Chajra siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami i oglądał jego buty. Saul patrzył na Chajrę, przytrzymując przy skroni jeden z kryształów. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Uchwyciwszy wzrok Wadima, paskudnie się uśmiechnął. Chajra ciągnął pouczająco:

- Kiedy was będą rozbierać, nie zapomnijcie powiedzieć, że to - wskazał palcem - to i to jest moje. Byłem pierwszy.

- Milcz - cicho powiedział Saul.

- Sam milcz - odrzekł z godnością Chajra. - Bo jak nie, to zatłuczemy cię pałkami na śmierć.

- Saulu - mitygował go Anton. - Niech pan przestanie. Co pan, jak małe dziecko...

- Rzeczywiście, mądry nie jest - wtrącił się Chajra. - Ale ma dobrą kurtkę.

Naprawdę jest przekonany, że ma nas w garści, pomyślał Wadim. Już widzi, jak nas rozbierają i spychają do wykopu, jak sypiamy na pokrytym nieczystościami klepisku i od rana do nocy milczymy, on zaś nas bosych pędzi po śniegu, kłuje kopią i bije po twarzy, żebyśmy nie zostawiali w tyle. A dookoła ludzie

myślący tylko o sobie, marzący wyłącznie o jednym i tym samym: żeby trafić palcem właśnie w tę dziurkę, która wprawi w ruch maszynę, a wówczas ich, radosnych i triumfujących, zaprzęgną do sań i popędzą po śniegu na spotkanie wolności, bosy, po zaśnieżonych pagórkach, do stóp Wielkiego i Potężnego...

Wadimowi z bólu pokazały się kręgi pod oczami - tak mocno zagryzł wargę. Już ja bym im urządził bal, pomyślał z nienawiścią. Co za dziwne uczucie - nienawiść. Mroziło wszystko od wewnątrz i napinało wszystkie mięśnie. Nigdy przedtem nie czuł nienawiści do ludzi. Usłyszał, jak strasznie sapie tuż za jego plecami Saul. Chajra nucił piosenkę.

W dole ukazał się brudny wykop. Na jego dnie w nieładzie stłoczyły się maszyny - absurdalne i dziwaczne narzędzia poniżenia i śmierci. Ech wy, przybysze, pomyślał Wadim. A zresztą, czego od was wymagać! Przecież nie jesteście nawet humanoidami. Woda z nieba... Konfitury...

Zmniejszył wysokość i hamując poleciał wzdłuż ulicy prosto do domku straży. Chajra, rozpoznawszy znajome strony, zaczął wydawać radosne okrzyki, wobec których okazał się bezsilny nawet potężny analizator.

Przed domkiem tkwiło pełno ludzi. W zielonkawym świetle zorzy skrzył się śnieg. Na śniegu, zbite w gromadkę, stały z opuszczonymi głowami dwie dziesiątki byłych zwolnionych, żalonych i nagich. Wokół nich, opierając się na kopiach, stali na rozkraczonych nogach strażnicy w futrach. Na ganku górował nad wszystkimi nosiciel świetnego miecza. Świetny miecz trzymał przed sobą i zwracając ku niemu odstawiając ucho, wodził po ostrzu wielkim palcem. Potem zauważył obniżający się glider i zamarł z rozwartą szeroko czarną paszczą.

Wadim posadził glider tuż przed gankiem. Otworzył na oścież osłonę kabiny załogi i krzyknął:

- Kajra-me sorinata-mu! Tatimata-ne kori-su!

Wydostał się zza steru, chwycił w ramiona nosiciela kopii z rodu wzgórz i postawił go na stopniach ganku. Naczelnik opuścił miecz i z wyraźnym szczękiem zatrzasnął gębę. Chajra zgiął się i drobnymi kroczkami, żwawo podbiegł do niego.

- Dlaczego jeszcze nie jesteś zabity? - ze zdumieniem zapytał naczelnik.

Chajra, złożony ręce przed piersią szybko zagruchał basem:

- Stało się, co musiało się stać! Opowiedziałem im o wielkości i potędze Wielkiego i Potężnego Głazu, Płomiennego Gromu, z Nogą w Niebie, Żyjącego Dopóki Nie Znikną Maszyny i posikali się ze strachu. Nakarmili mnie smacznym jedzeniem i mówili ze mną jak pokorni. I zjawili się tutaj, aby pokłonić się tobie.

Kopijnicy z szacunkiem skupili się wokół ganku. Tylko dwie dziesiątki nagich stały w miejscu, pokornie oczekując swego losu. Naczelnik powoli, z namaszczeniem wsunął miecz do pochwy. Nie patrzył więcej na glider. Niespiesznie i obojętnie zaczął wypytywać Chajrę.

- Gdzie mieszkają?

- Mają wielki dom na równinie. Bardzo ciepły.

- Skąd wzięli tę maszynę?

- Nie wiem. Pewnie z twardej drogi.

- Powinieneś był im powiedzieć, że całe niebo i cała ziemia należą do Wielkiego i Potężnego Głazu.

- Powiedziałem im. Ale ich obuwie, i jedna kurtka, i błyszcząca skrzynia należą do mnie. Nie

zapomnij o tym później, jasny i silny.

- Dureń jesteś - rzucił naczelnik pogardliwie. - Wszystko należy do Wielkiego i Potężnego Głazu. A ty otrzymasz to, co zostanie ci dane. Gdzie jest pismo?

- Oni mi zabrali - z rozczarowaniem oświadczył Chajra.

- Podwójny dureń. Zapłacisz za to głową.

Chajra oklapł. Naczelnik popatrzył gdzieś w przestrzeń między Wadimem i Antonem i powiedział:

- Niech pokażą swoje buty.

Saul ryknął i pobiegł do burty.

- Spokojnie, spokojnie - uspokajał go Anton.

Naczelnik melancholijnie wysmarkał się na ganek.

- A co jadłeś?

- Konfitury. Może nie całkiem konfitury, ale słodkie i cieszą język.

Naczelnik żywił się z lekka.

- Dużo mają tych konfitur?

- Bardzo dużo! - z entuzjazmem krzyknął Chajra. - Ale nie każ mnie chłostać.

- Postanowiłem - wyrzekł naczelnik. - Niech wyruszą do domu i przyniosą do mych stóp wszystkie konfitury. I wszelkie inne jedzenie. A węgla nie mają?

Chajra spojrzawszy pytająco na Antona. Anton ostro powiedział:

- Zażądaj wolności dla tych przestępców.

- Co on mówi? - spytał naczelnik.

- Prosi, abyś nie zabijał tych przestępców.

- A jak rozumiesz jego mowę?

Chajra wskazał obydwiema rękami różki mnemokryształów na swoich skroniach.

- Jeśli się to przystawi do głowy, słyszy się obcą mowę i rozumie jak własną.

- Daj mi - zażądał naczelnik. - To również należy do Wielkiego i Potężnego Głazu.

Odebrał mu mnemokryształy i po paru nieudanych próbach przymocował je sobie do czoła. Anton od razu powiedział:

- Natychmiast wypuść tych ludzi, którzy zasłużyli na wolność.

Naczelnik popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Nie możesz mówić w ten sposób - upomniał Antona. - Wybaczam ci, bo jesteś podłego stanu i nie znasz słów. Idź. I przynieś także pismo i rysunek techniczny. - Zwrócił się do kopijników, którzy słuchali go z czcią, i ryknął:

- No, co tak stoicie, trupoluby? Nie musicie obwąchiwać im portek! Portki wszystkich ludzi, którzy rozmawiają ze mną, śmierdzą tak samo. Do roboty! Pędźcie tę padlinę do wykopu. Hej! Hej!

Kopijnicy zarechotali i truchtem ruszyli ulicą, pędząc przed sobą byłych wyzwolenców. Naczelnik przyjaźnie walnął Chajrę w ucho i kazał mu się zabierać. Chajra zachwiał się od uderzenia i dał nura w drzwi. Pozostawszy sam, naczelnik popatrzył na niebo, na chałupy, ziewnął przeciągle, z pojękiwaniem, popatrzył na glider, leniwie odcharknął i spoglądając gdzieś w bok, oznajmił znudzonym głosem:

- Róbcie, jak rozkazałem. Wróćcie do swego domu, przynieście mi tutaj wszystkie konfitury i co

tylko macie do jedzenia, i idźcie do wykopu, jeśli chcecie żyć.

Wadim patrzył na olbrzymią, brudną postać i czuł w kończynach dziwną słabość. Miał wrażenie, jakby we śnie usiłował wdrapać się na śliską, spadzistą ścianę. Anton mruknął tuż obok niego:

- Patrz, Dimka, przypatrz no się dobrze. To już nie żółtodziób Chajra.
- Nie wytrzymam - dziwnym, bezbarwnym głosem rzekł Saul. - Ja go zaraz uduszę.
- W żadnym wypadku - powiedział Anton.

Naczelnik wrzasnął w otwarte drzwi:

- Upiecz mi mięsa, Chajro, trupolubie! I zagrzej łożę! Dziś jestem wesół. - Potem stanął bokiem do glidera i patrząc na góry przemówił, podnosząc brudny wskazujący palec: - Teraz jesteście jeszcze bezrozumni i nieżywi ze strachu. Ale musicie wiedzieć, że odtąd, rozmawiając ze mną, powinniście zgiąć się w pasie i przycisnąć dłonie do piersi. I nie wolno wam patrzeć na mnie, ponieważ jesteście nieczyści i wzrok wasz kala. Dzisiaj wam wybaczam, ale jutro każę was zbić drzewcami kopii. Ponadto musicie pamiętać, że największą cnotą jest posłuszeństwo i milczenie. - Wsunął wskazujący palec do paszczy i zaczął dłubać w zębach. Z trudem rozumieli, co mówi. - Kiedy wrócicie tutaj z konfiturami, pismem i rysunkiem, rozbierzecie się i zostawicie wszystko na ganku. Ja do was nie wyjdę. Potem pójdziecie do chałup i ściągniecie koszule z trupów. Dwóch koszul brać nie wolno. - Nagle zarżał. - Bo inaczej spociecie się przy pracy. Możecie też zabrać koszule żywym, ale tylko tym, którzy mają złote paznokcie...

Przez półotwarte drzwi wśliznął się Chajra.

- Wszystko gotowe, jasny i silny - zameldował.

Naczelnik kontynuował:

- Wasz los będzie lekki. Wielki i Potężny Głaz potrzebuje ludzi, którzy umieją poruszać maszyny. Jako że przyjdzie ostatecznie wojna o ziemię, które do niego należą! I wówczas Wielki i Potężny Głaz - podniósł do góry wskazujący palec - Płomienny Grom z Nogą w Niebie i z Nogą na Ziemi, Żyjący Dopóki Nie Znikną Maszyny...

- Bydlę! - ogłuszająco wrzasnął Saul. Nad uchem Wadima matowo błysnęła oksydowana lufa skorczera.

- Nie wolno! - krzyknął Anton.

Saul odepchnął Wadima i przejął stery.

- Nie wolno? - zawołał. - A co wolno? Znosić to i czekać cierpliwie, aż znikną maszyny? Dobrze!

Silne szarpnięcie rzuciło Wadima między siedzenia. Nie zamykając kopuły Saul poderwał glider w powietrze. Rozległ się trzask, nad kabiną przemknęła rozłupana belka. Lodowaty wichur zawył w uszach, glider przechylił się mocno i Wadim zdążył zobaczyć, że naczelnik stoi na czworakach pośrodku ganku, wypinając do góry olbrzymi zad, a dach domu, wirując i rozpadając się, ląduje na środku ulicy. Wadim próbował zamknąć kopułę, ale ta nie poddawała się.

- Saulu! - krzyknął Wadim. - Niech pan zmniejszy prędkość!

Saul nie odpowiedział. Pędził gliderem nad ulicą, po której ciągnęły już szeregi więźniów zmierzających prosto do wykopu. Skulił się, chowając twarz za niskim wiatrochronem. Skorczera trzymał na kolanach. Glider leciał nierównymi susami, przeciwny wiatr usiłował go wywrócić.

Wadim ciągle próbował jedną ręką zasunąć kopułę. Drugą przytrzymał skrzynkę analizatora,

która upadła mu na kolana. Saul cedził przez zęby:

- Szubrawcy... Nikczemnicy... Oprawcy... Chcecie maszyn? Będziecie mieć maszyny! Ziemię chcecie zawojować? Będziecie mieli ziemię!...

Wadim wdrapał się w końcu na siedzenie i rozejrzył się. Glider mknął prosto na wykop. Anton, wczepiony w poręczę, mrużąc oczy od wiatru, w milczeniu patrzył w plecy Saula.

- Konfitury? - ryczał Saul. - Ja ci pokażę konfitury!... Słodkie jadro... Trupoluby...

Glider przelatywał nad wykopem. Saul zamilkł i przegiąwszy się przez burtę, wypalił ze skorczera prosto w dół. Wadim szarpnął się do tyłu. Z wykopu trysnął osłepiający liliowy płomień, o uszy uderzył przeraźliwy huk i wszystko pozostało w tyle.

Wadim, natężając się, aż mu w środku wszystko zachręściło, zatrzasnął wreszcie kopułę. Zrobiło się cicho.

- Wpóję im inną koncepcję wieczności - powiedział Saul i zamilkł.

- A może nie warto? - nieśmiało zasugerował Wadim. Jeszcze nie rozumiał, co Saul chce zrobić.

Czego można od nich wymagać, myślał. Tępi, prymitywni ludzie. Czyż na nich można gniewać się poważnie?

Glider z rykiem mknął nad wierzchołkami pagórków, podrywając chmury śnieżnego pyłu. Saul był bardzo kiepskim kierowcą, kierował do silnika zbyt wiele energii, tylko połowa mogła być wykorzystana. Za pojazdem wyrastała zbita ściana zlodowaciałej mgły. Kilka ptaków rzuciło się w ich stronę, usiłując przeciąć im drogę, lecz od razu przepadły w śnieżnej zawierusze. A za nimi, nad skrzącym się tumanem, wyrastał w niebo ship dymu.

- Jednego tylko szkoda, jednego... - znowu przemówił Saul. - Jakie to smutne, że nie sposób wyrugować za jednym zamachem całej tępoty i okrucieństwa, nie niszcząc przy tym człowieka... No, żeby tak tylko głupotę w tym bezgranicznie głupim kraju!...

- Pan leci nad szosę? - spokojnie zapytał Anton.

- Tak. I nie próbujcie mnie powstrzymać.

- Nawet nie myślę - odrzekł Anton. - Tylko proszę być ostrożnym.

Teraz Wadim rozumiał i wlepił wzrok w skorczera. Chyba zaczyna się coś takiego, pomyślał, czego nigdy w życiu nie zdołam opisać... ani pojąć.

Na szosie wszystko było po staremu. Jak wczoraj, jak sto lat temu bezdźwięcznie, równymi rzędami ciągnęły maszyny. Z dymu wyłaniały się i w dymie znikwały. I tak mogłoby być wiecznie. Ale oto Saul posadził glider o dwadzieścia metrów od jezdni, odsunął kopułę i wsparł lufę skorczera o burtę.

- Nie znoszę rzeczy niezmiennych - powiedział z nieoczekiwanym spokojem i strzelił.

Pierwszy cios dosięgnął olbrzymiej, żółwiopodobnej maszyny. Pancierz rozbłysnął i rozpadł się jak skorupka jajka, a platforma na jednej gąsiennicy zakręciła się w miejscu, spychając i przewracając jadące za nią małe, zielone pojazdy.

- Nie można zmienić praw historii... - mówił Saul.

Z hukiem zapłonęła ogromna czarna wieża na kołach, a druga wieża przewróciła się i zatarasowała część szosy.

- ... ale można naprawić niektóre pomyłki historii - dodał celując.

Liliowa błyskawica wyładowania o napięciu miliona woltów wybuchła pod podwoziem pomarańczowej maszyny, przypominającej polowy syntetyzator, i pojazd, rozpadając się w drobny mak, wyleciał wysoko w powietrze.

- ... te pomyłki wręcz trzeba naprawiać - ciągnął Saul strzelając. - Feudalizm... i bez tego jest wystarczająco... parszywy.

Potem zamilkł. Z prawej strony rósł stos rozżarzonych szczątków, a z lewej szosa świeciła pustką - prawdopodobnie po raz pierwszy od tysiący lat - i tylko sporadycznie przemykały pojedyncze maszyny, którym udało się przedrzeć przez ogniową kurtynę. Potem rozżarzona góra rozpadła się z sykiem i trzaskiem, wystrzelił w górę wysoki słup iskier i popiołu a z obłoku dymu na szosie chlusnęły nowe szeregi maszyn. Saul ryknął i ponownie chwycił za skorczer. Znowu zagrzały wyładowania, zapłonęły wybuchając maszyny, i znów zaczął rosnać stos rozżarzonych szczątków. Na niebie zawisły czarne, ciężkie kłęby dymu przecinane fontannami iskier. Puszystymi kłaczkami opadał z nich popiół, a śnieg dookoła poczerniał i zaczął dymić. Przy jezdni odsłoniła się ziemia.

Wadim siedział z nogami opartymi o skrzynię analizatora, wzdrygając się i mrużąc oczy przy każdym wybuchu. Potem przyzwyczał się i przestał mrużyć oczy. Raz po raz wyrastała na szosie płonąca góra, po chwili rozsypywała się rozrzucając gorejące odłamki, głośno wzdychając falami nieznośnego żaru, a maszyny parły naprzód niepowstrzymanym strumieniem, obojętne na zniszczenie, i nie było im końca.

- Chyba wystarczy, Saulu! - poprosił Anton.

To nie ma sensu, pomyślał Wadim. Saul przestał strzelać - skończyły się ładunki - i bezradnie pochylił głowę. Rozpalona lufa skorczera celowała w niebo. Wadim popatrzył na pokryte sadzą ręce i głowę Saula i poczuł wielkie zmęczenie. Nie rozumiem, pomyślał. Wszystko na próżno. Biedny Saul. Biedny Saul.

- Historia - zachrypiął Saul nie podnosząc głowy. - Niczego nie można zatrzymać.

Wyprostował się i popatrzył na nich.

- Serce nie wytrzymało - powiedział. - Wybaczcie. Serce nie wytrzymało. Po prostu nie mogłem. Musiałem coś zrobić.

Siedzieli i długo patrzyli na szosę. Maszyny szereg za szeregiem pelzły swoją drogą, spychając na pobocza szczątki, zmiatając popiół i wkrótce wszystko było jak dawniej, tylko szkarłatna plama w poprzek szosy stygła powoli, czerniał dokoła zabrudzony śnieg i długo nie rozpraszała się nad głowami zasłona dymu, przez którą, drżąc, spoglądał czerwony, zniekształcony dysk - żółty karzeł EN 7031.

Saul zamknął oczy i powiedział niezrozumiale:

- To tak, jak z piecami... Jeśli się zniszczy same piece - wybudują nowe i tyle.

Gdzieś w pobliżu rozległy się znajome do obrzydzenia, żałosne okrzyki. Wadim niechętnie odwrócił głowę. Na polnej drodze przy szosie stał tłum zmordowanych ludzi w workach, a strażnicy w futrach i z kopiami krzatali się dookoła. Czego tu szukają? obojętnie pomyślał Wadim. Strażnicy drzewcami pik wypchnęli z tłumu jakiegoś nieszczęśnika. Ten, drżąc i oglądając się, przeszedł po czarnym śniegu i wyszedł na szosę. Olbrzymia błyszcząca wieża miękko pelzła na niego. Nieszczęśliwy z rozpaczą popatrzył na strażników. Tamci wrzasnęli coś o rękach. Przestępca zamknął oczy i rozkrzyżował ręce. Maszyna powaliła go i popelzła dalej. Saul wstał. Skorczer z głośnym stukiem upadł na dno kabiny.

- Och, dać im w mordę - powiedział Saul, zginając i prostując palce.

Anton złapał go za kurtkę.

- Słowo honoru, Saulu - powstrzymywał go. - To również nie ma sensu.

- Wiem. - Saul usiadł. - Czy pan myśli, że nie wiem? Ale dlaczego nie mogę nic zrobić? Dlaczego ani tam, ani tu nie mogę nic zrobić?

Strażnicy wypchnęli na drogę innego więźnia. Pierwszy pozostał rozciągnięty na szosie, płaski jak pusty worek. Drugi rozkrzyżował ramiona i zagroził drogę czerwonej platformie z sześcienną skrzynią. Platforma zwolniła i zatrzymała się na dwa kroki przed nim. Strażnicy coś zawołali. Więzień podniósł ręce i cofając się zaczął schodzić z szosy. Czerwona maszyna jak przywiązana pełzła za nim. Zjechała na polną drogę i ciężko zakołysała się na wybojach. Więzień ciągle cofał się i cofał, odciągając ją od szosy do wykopu. A po szosie ciągle jechały, jechały i jechały maszyny.

- Popełniłem głupstwo - smutno przyznał się Saul. - Możecie mnie zwymyślać. Ale mimo wszystko tutaj trzeba rozpoczynać od czegoś podobnego. Wróćcie, wiem o tym. A więc pamiętajcie, że zaczynać trzeba zawsze od tego, co rodzi wątpliwości... No, czemu mnie nie zwymyślcie?

Wadim tylko spazmatycznie westchnął, a Anton odpowiedział miękko:

- A za co, Saulu? Przecież nie zrobił pan nic złego. Po prostu postąpił pan dziwnie.

Rozdział 8

- Dimka - powiedział Anton - idź zobaczyć, co z Saulem.

Wadim podniósł się i wyszedł ze sterowni. Zszedł do mesy i zajrzał do Saula. Owionął go zapach zastałego dymu tytoniowego. Saul leżał na kanapie w tej samej pozycji, w jakiej ułożyli go po zaprowadzeniu do pokoju: z wyciągniętymi nogami o ogromnych stopach, z odrzuconą do tyłu głową, z wystającą szpeciniastą grdyką. Wadim przysiadł obok niego i dotknął jego czoła. Było rozpalone. Saul bez ładu i składu mamrotał:

- Suchary... potrzebne są suchary... Co, wy do mnie z nożycami?... W zakładzie krawieckim są nożyce... przecież nie do paznokci... Pytam o suchary... a wy mi nożyce... - Nagle silnie drgnął i zachrypiał: - Zum Befehl, panie blokowy... Skąd, wszy tłuczemy...

Wadim pogłaskał go po bezwładnej ręce. Na Saula ciężko było patrzeć. Zawsze ciężko jest znieść widok silnego, pewnego siebie człowieka w takim stanie. Saul powoli otworzył oczy.

- O... - przemówił. - Wadim... Dimka... Tylko nie myśl... Na przesłuchanie zawsze patrzy się z obrzydzeniem... Nie myśl o mnie źle... Wróć... To była po prostu słabość... A teraz odpocząłem i wróć...

Jego wzrok zamglili się. Wadim patrzył na niego z żalem.

- Znowu się palimy... - mamrotał Saul. - Palimy się jak suche szczapy. Stiepanow się pali! W krzaki! W krzaki!

Wadim westchnął i podniósł się. Rozejrzał się po kajucie. Panował tu straszliwy nieład. Na podłodze poniewierała się rozbebeszona niezgrabna teczka. Jej zawartość leżała porozrzucana na podłodze - dziwne, szare, tekturowe koperty wypchane papierami, ozdobione stylizowanym wizerunkiem jakiegoś ptaka z rozpostartymi skrzydłami. Jedna z kopert otworzyła się i papiery rozsypały się po całej kajucie. Na stoliku również leżały papiery. Wadim chciał już wszystko posprzątać, ale zauważył, że Saul zasnął. Wyszedł więc po cichutku i zamknął za sobą drzwi.

Anton siedział przy pulpicie z palcami na przełącznikach i w zadumie patrzył na ekran. Na ekranie powoli przepływały wierzchołki sosen, dalekie, błyszczące piętra domów, czerwone ogniki odbiorników energii.

- Kiepsko z nim - oznajmił Wadim. - Majaczy. Teraz, co prawda, usnął.

Przysiadł na poręczy i wlepił wzrok w ścianę pokrytą rysunkami przedstawiającymi ludzkie postacie i przedmioty.

- Niepotrzebnie pomazałem ścianę - oświadczył. - Trzeba było poprosić Saula o papier. On ma, jak się okazuje, całą teczkę papieru. Nawiasem mówiąc, kiedy zacząłem rysować, Chajra dostał czkawki ze strachu.

- Wiesz, Dimka - powiedział Anton w zadumie. - Saul to bez wątpienia dziwny człowiek. Ale żeby dorosły facet nie miał wszczepionej bioblokady... - Pokręcił głową.

- Domyślasz się chociaż, co mu może być?

- Już ci mówiłem - nie mam pojęcia. Zaraził się czymś od Chajry...

Wadim wyobraził sobie, czym można było zarazić się od Chajry, zmarszczył brwi i opadł na fotel.

- Mnie się Saul podoba - oświadczył. - Taki dziwak z własnym punktem widzenia. I jest zachwycająco zagadkowy. Nigdy w życiu nie słyszałem tak tajemniczego majaczenia.

- A ile razy ty w ogóle słyszałeś majaczenie?

- Nieistotne. Czytywałem. A tak w ogóle - powiedział, że jego ucieczka z Ziemi była po prostu słabością. Teraz, mówi, odpocząłem trochę i wrócę. Jestem zadowolony z jego decyzji, Toszka.

- Mówił ci to w malignie?

- Nie. Miał chwile przytomności. - Wadim popatrzył na ekran. "Okręt" płynął nad Chibinami. - Jak myślisz, ile czasu minęło?

- Tysiąc lat - odpowiedział Anton.

Wadim uśmiechnął się.

- Wyjątkowo bogaty we wrażenia urlop. Daliśmy im popalić, no nie? - uśmiechając się błogo, zaczął wspominać heroiczne epizody, przymierzając się do jutrzejszego występu przed Nelly i Samsonem. Samson położył uszy po sobie bez żadnych czaszek: pokażę mu bliznę.

- Szkoda - powiedział na głos.

- Czego?

- Szkoda, że uderzył mnie w bok. Powinien był przez twarz. Wyobrażasz sobie? Blizna od lewej skroni i przez oko do podbródka?!

Anton popatrzył na niego.

- Wiesz, Dimka - powiedział - ja chyba nigdy nie przyzwyczaję się do ciebie.

- Nie martw się, Antenie. Ty też byłeś niczego sobie. Prawda, nie mogłeś się zdecydować. Ale opowiem Halce, że świetnie dowodzisz.

Anton skrzywił się.

- Już lepiej niczego nie opowiadaj. - Zamilkł. - Mówisz, nie mogłem?

- Według mnie, tak.

- Widzisz, nie mogłem z tego wybrnąć. Nigdy jeszcze nie byłem w takich opalach. Różne rzeczy mi się zdarzały, ale w takiej sytuacji, Dimka, kiedy trzeba coś zrobić i absolutnie niczego zrobić nie można, kiedy tak strasznie chce się coś naprawić, a wiadomo, że można tylko wszystko pogorszyć... Naturalnie, wahałem się.

Wadim przyglądał się Chibinom.

- A dowodziłeś mimo wszystko dobrze. Ciekawie się prezentowałeś w takim emploi... Posłuchaj, a Chajra leży teraz na swoich śmierdzących skórkach i myśli: co za buty, nikt takich nie ma! Antonie, nie możesz szybciej?

- Nie mogę. Tutaj nie wolno szybciej.

- Mało to rzeczy nie wolno... Daj, poprowadzę.

- Lepiej nie - odrzekł Anton. - I tak cała ta eskapada będzie mnie kosztowała licencję pilota.

- A coś ty takiego zrobił?

- Zrobiłem... Zapewniam cię, że drugi raz na Saulę polecę już nie jako zawodowy kosmonauta, lecz jako kiepski lekarz-entuzjasta.

Wadim zdziwił się. A co zrobiliśmy? Czyniliśmy wszystko co w naszej mocy, a poza tym wszystko,

co powinniśmy byli zrobić. A jakże można było inaczej? W trzy osoby za ledwie? Gdyby nas było ze dwudziestu, po prostu rozbroilibyśmy straż i po sprawie. W każdym bądź razie nie ma nam za co wymyślać. Co prawda, kiepsko wyszło z tymi chłopakami, którzy wieźli Chajrę. Ale skąd mogliśmy wiedzieć? Nie, co tam dużo gadać, zwiad przeprowadziliśmy doskonale. Z honorem. Trzeba teraz zakasać rękawy i skrzyknąć chłopaków. Najpierw - komitet. No więc ja, Anton, z pewnością. Trzeba przekonać Saula. Bez niego nie można: potrzebny jest sceptyk. I jest to człowiek energiczny i zdecydowany, spec od dwudziestego wieku. Dalej Samson. Wspaniały inżynier przy całej swej zjadliwości. Nelly, artystka, niech podbija serca. Koniecznie Grisza Barabanów: po pierwsze, jest nauczycielem, po drugie, zna mnóstwo innych nauczycieli, sądząc ze wszystkiego, wspaniałych ludzi... Lekarz! Lekarz jest niezbędny... To niemożliwe, aby w takiej masie nauczycieli nie znalazł się ani jeden lekarz. I myślni są potrzebni. Oto kto jest naprawdę potrzebny. Wybić koszarne ptaszyny-samsony. Wadim parsknął śmiechem. A później jako komitet wystąpimy przed Ziemią, rzucimy hasło...

Wadimowi słodko zamarło serce, kiedy wyobraził sobie cały rozmach tego nowego olśniewającego przedsięwzięcia. Eskadry rejsowych D-gwiazdolotów, nabitych po brzegi dziarskimi ochotnikami, syntetyzatorami, medykamentami... całe tony embriomechanicznych jaj, z których w pół godziny wyrosną domy, glidery, stacje meteorologiczne... i dwadzieścia tysięcy, trzydzieści tysięcy, sto tysięcy nowych znajomości!

- Cała flota kosmiczna w rozjazdach - powiedział Anton.

- Co?

- Mówię, że cała flota kosmiczna jest w rozjazdach. Obliczyłem z grubsza: na początek potrzeba co najmniej z dziesięć rejsowych "widm", a jest ich za ledwie pięćdziesiąt cztery i wszystkie zgromadzono teraz przy EN 117, aby przerzucić je za Ślepą Plamę.

- Zbudujemy nowe - zdecydował Wadim.

Anton spojrzął z ukosa na niego.

- Znowu ptaki ci w głowie ćwierkają... Ty, Dimka, weź pod uwagę, że na Saulę pewno więcej ciebie nie puszcza.

- Jak to tak - nie puszcza?

- Z bardzo prostych powodów. Tam są potrzebni odpowiedni ludzie: nie dwudziestoletnie zabijaki, lecz profesjonaliści w najpoważniejszym znaczeniu tego słowa. Tylko że ja w ogóle nie mogę sobie wyobrazić, żeby tylu prawdziwych profesjonalistów można było oderwać od Planety. Ale to jeszcze pół biedy.

- No-no - zachęcił go Wadim. - A druga połowa?

- A druga połowa, mój drogi... - Anton westchnął. - Istnieje już dwa wieki taka niewidoczna organizacja - Komisja do Spraw Kontaktów. I co dla niej charakterystyczne: po pierwsze, bez jej zgody nikt nie zasiądzie w fotelu pilota, a po drugie, w jej składzie nie ma ani jednego zabijaki, a wyłącznie ludzie podobni do siebie: poważni, mądrzy i umiejący przewidywać ewentualne następstwa.

Anton mówił poważnie, ale Wadim mimo to spytał:

- Ty co, poważnie?

- Zupełnie poważnie. - Anton przebiegł palcami po konsoli i powiedział: - Dać ci na pocieszenie

wylądować, czy co? Nie, nie dam. Starczy ofiar.

“Określ” łagodnie i bez hałasu opadł na polanę prawie w tym samym miejscu, z którego wzbił się w niebo trzydzieści dziewięć godzin wcześniej. Anton wyłączył silnik i trochę posiedział, delikatnie gładząc ręką pulpit.

- A więc tak - powiedział. - Najpierw Saul.

Nadąsany Wadim patrzył przed siebie. Anton włączył pokładowy radiofon i nastroił go na częstotliwość pogotowia ratunkowego.

- Punkt jedenaście-jedenaście - oznajmił spokojny kobiecy głos.

- Potrzebujemy lekarza-epidemiologa - poprosił Anton. - zachorował człowiek powracający z nowej planety ziemskiego typu.

Przez pewien czas odbiornik milczał. Następnie głos ze zdumieniem zapytał:

- Przepraszam, co pan powiedział?

- Widzi pani - wyjaśnił Anton - on nie miał wszczepionej bioblokady.

- Dziwne. Dobrze... Pański zamiar?

- Podaję.

- Dziękuję, przyjęłam. Lekarz będzie za dziesięć minut.

Anton popatrzył na Wadima.

- Nie dąsaj się, najstrukturalniejszy, jakoś to będzie. Chodźmy do Saula.

Wadim powoli wygramolił się z fotela. Zeszli do mesy i od razu zobaczyli, że drzwi do kajuty Saula stoją otworem. Saula w kajucie nie było. Nie było również jego teczki i papierów, a na stoliku leżał skorczer.

- Gdzież on jest? - spytał Anton.

Wadim rzucił się do wyjścia. Właz był otwarty, na zewnątrz panowała ciepła, gwiazdzista noc. Głośno grały cykady.

- Saulu! - zawołał Wadim.

Nikt się nie odezwał. Wadim w zakłopotaniu zrobił kilka kroków po miękkiej trawie. Dokąd on odszedł, taki chory? pomyślał i znowu krzyknął:

- Saulu!

I znowu nikt się nie odezwał. Nadleciał ciepły wiatr i łagodnie pogładził Wadima po twarzy.

- Dimka - cicho zawołał Anton - chodź tutaj...

Wadim wrócił do oświetlonego włazu. Anton podał mu kartkę papieru.

- Saul zostawił wiadomość - powiedział. - Podłożył pod skorczer.

Był to strzępek grubego szarego papieru ze śladami brudnych paluchów. Wadim przeczytał:

- “Kochani! Wybaczcie mi oszustwo. Nie jestem historykiem. Jestem zwykłym dezenterem.

Uciekłem do was, bo chciałem się uratować. Nie zrozumiecie tego. Pozostał mi tylko jeden magazynek i ogarnęła mnie tęsknota. A teraz jest mi wstyd i wracam. Wracajcie na Saulę i róbcie swoje, a ja dokończę swego. Mam przecież jeszcze cały magazynek naboí. Odchodzę. Żegnajcie. Wasz S. Repnin.”

- Słuchaj, on jest całkiem chory - powiedział Wadim zakłopotany. - Biegnijmy go szukać!

- Popatrz na odwrocie - rzekł Anton.

Wadim odwrócił kartkę. Na odwrocie wielkimi koślawymi literami nagryzmołono:

*“Do pana Rapportführera Oberscharführera SS
pana Wina od Blockfriseursa bloku szóstego –
więźnia numer 658617*

Raport

Donoszę niniejszym, że według zebranych przeze mnie informacji więźni nr 819360 to nie kryminalista zwany Saulem, ale były oficer wojsk pancernych Armii Czerwonej Sawiel Pietrowicz Replin, ranny i wzięty do niewoli przez armię niemiecką jeszcze pod Rzewem. Wymieniony numer 819360 jest ukrywającym się komunistą i bezwarunkowo człowiekiem szkodliwym dla porządku. Przyłapałem go na tym, że przygotowuje ucieczkę i działa w tej grupie, o której donosiłem Panu w raportach od lipca bieżącego 1943 roku. Donoszę również, że oni przygotowują...”

Na tym tekst się urywał. Wadim wlepił wzrok w Antona.

- Nie rozumiem - oświadczył.

- Ani ja - cicho powiedział Anton.

Jaskrawe światło zalało polanę. Nad “Okrętem” powoli schodził do lądowania sanitarny ognek.

- Wytłumacz to jakoś lekarzowi - poprosił Anton z nieokreślonym uśmiechem - a ja pójde i połączę się z Radą.

- Jak ja mu wytłumaczę? - wymamrotał Wadim patrząc na strzępek papieru.

Więźni nr 819360 leżał nieruchomo na skraju szosy z twarzą zanurzoną w lepkiem błocie. Jego prawa ręka ścisnęła jeszcze uchwyt szmajsera.

- Chyba gotowy - powiedział z żalem Ernst Brandt. Był jeszcze blady. - Mój Boże, szyba po prostu prysnęła mi w twarz...

- Ten drań czatował na nas - oznajmił obersturmfuhrer Deibel.

Spojrzeni za siebie na szosę. W poprzek jezdni stał wymalowany maskującą farbą samochód terenowy. Szybę miał rozbitą, z przedniego siedzenia zwisał zaczepiony płaszczem zabity kierowca. Dwóch żołnierzy wlokło pod pachy rannego. Ranny głośno krzyczał.

- To z pewnością jeden z tych, co zabili Rudolfa - powiedział Ernst. Podważył butem ramię zabitego i przewrócił go na plecy.

- *Kreuzhageldonnerwetternocheinmal* - powiedział. - To przecież teczka Rudolfa!

Deibel skrzywił tłustą twarz i schylił się wypinając olbrzymi tyłek. Jego zwiotczałe policzki zatrzęsły się.

Tak, to jego teczka - mruknął. - Biedny Rudolf! Wyrwać się spod Moskwy i zginąć od kuli wszawego więźnia.

Wyprostował się i popatrzył na Ernsta. Ernst Brandt miał rumianą głupawą twarz i lśniące czarne oczy. Deibel odwrócił się.

- Weź teczkę - burknął i ze smutkiem wlepił wzrok w przestrzeń, gdzie nad lasem sterczały grube kominy pieców obozowych, z których walił obrzydliwy tłusty dym.

A więzień nr 819360 szeroko otwartymi martwymi oczami patrzył na niskie szare niebo.